

Warszawa, dnia 18 (30) Marca 1870 roku.

№ 13. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie—na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.— **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

OPIEKUN DOMOWY

wraz z bezpłatnym dodatkiem „*Czytelnia Domowa*,“ wychodzić będzie w Kwartale II-im r. b. w tym samym jak dotąd formacie i z tąż samą dążnością: szerzenia oświaty w rodzinach i strzeżenia domowego ogniska od wszelkiego rodzaju niemoralności. Cena pozostaje dotychczasowa, a mianowicie:

na prowincji i w Cesarstwie:

Rocznie

za Opiekuna z Czytelnią Domową	rs. 3	kop.	—
za przesyłkę pocztową	„ —	„	45
za opaski i ekspedycję	„ 1	„	35
razem....	rs. 4	kop.	80



Widok miasta Tomska na Syberyi (do Stronnicy 138-éj).

w Warszawie bez przesyłki:

rocznie	rs. 3	kop.	—
półrocznie....	„ 1	„	50
kwartalnie ...	„ —	„	75
miesięcznie...	„ —	„	25

Półrocznie

za Opiekuna z Czytelnią Domową	rs. 1	kop.	50
za przesyłkę pocztową	„ —	„	22½
za opaski i ekspedycję	„ —	„	67½
razem....	rs. 2	kop.	40

Kwartalnie

za Opiekuna z Czytelnią Domową	rs. —	kop.	75
za przesyłkę pocztową..........	„ —	„	$11\frac{1}{4}$
za opaski i ekspedycję..........	„ —	„	$33\frac{3}{4}$
razem....	rs. 1	„	20

Przytém Redakcja oświadcza: iż stósownie do obowiązujących obecnie przepisów pocztowych, *Opiekun Domowy* na prowincję wysyłanym będzie w *opaskach*, pod adresem prenumeratora, po nadesłaniu *z góry* należności prenumeracyjnéj. Sposób ten ekspedycji, wymaga ze strony Redakcji pewnych przygotowań, wznawiających się za każdém odnowieniem prenumeraty; dla uniknienia więc zwłoki w przesyłce, jakąby z tego powodu mieć mogli, raczą Szanowni Prenumeratorowie z prowincji, jak najwcześniéj opłatę prenumeracyjną *bezpośrednio do Redakcji* nadsyłać. W końcu upraszamy nowych prenumatorów: o dokładne i wyraźne wypisywanie swych adressów; t. j. imienia i nazwiska, ostatniéj stacji pocztowéj oraz miejsca zamieszkania; dawnych zaś prenumeratów prosimy: aby raczyli wymieniać numer adressu, za jakim ostatnio *Opiekuna Domowego* odbierali.

O TOWARZYSTWIE KREDYTOWEM MIASTA WARSZAWY.

Założenie tego Towarzystwa oddawna było upragnioném, a przy obecnym zastoju interessów przemysłowych i handlowych oraz upadku kredytu rzeczowego i osobistego, udzielanie pożyczek na nieruchomości miasta Warszawy, stanie się prawdziwem dobrodziejstwem dla właścicieli tych nieruchomości i zarówno dla ogółu mieszkańców Warszawy, ponieważ spłacone stare i nowe wierzytelności z hypotek papierami 5% procentowemi, zmuszone będą szukać dla siebie pomieszczenia w przemyśle fabrycznym, rękodzielniczym i handlowym, albo nawet w ogrodnictwie i w rolnictwie, aby mieć daleko wyższe dochody od kapitału. W następstwie takiéj dążności kapitalistów, w Warszawie i jego obrębie, podnieść się muszą szybko z obecnego upadku na wartości wszystkie nieruchomości, a prawie jednocześnie zacznie się na nowo rozwijać przemysł fabryczny i rękodzielniczy, jako zasilone kapitałami na procent od 6% do 8% od sta rocznie i pod warunkami dogodnymi wypożyczać się zmuszonemi. Niemniejszą również możemy mieć nadzieję, że kapitały z hypotek spłacone, a do ludzi energicznych, światłych i specyalnie uzdolnionych należące, użyte będą na zakładanie przez spółki różnego rodzaju czyli stowarzyszenia, rozmaitych fabryk i przedsiębierstw, mających za cel: podniesienie przemysłu i handlu miejskiego, usunięcie przywozu różnych wyrobów z zagranicy, a nawzajem rozpoczęcie albo zwiększenie wywozu rozmaitych fabrykatów do innych gubernij cesarstwa i za granicę. Temi środkami z największą wytrwałością przedsiębranemi, Warszawa przyjść może do zamożności, znosić ciężary bieżące i pozyskać dla ogółu swoich mieszkańców dobrobyt, jakiego używają mieszkańcy innych wielkich miast w Europie.

Warszawa leżąc na linijach dróg żelaznych, które łączą Wschód z Zachodem Europy, może być pewną że nietylko korzyści z tych kommunikacyj nie ominą jéj, ale w krótkim przeciągu czasu pozyska nowe, z urządzenia takichże kommunikacyi z południa na północ Europy.

Lecz Warszawianie chcąc z pewnością dojść do obiecanego im tu dobrobytu i utrzymać się przy nim trwale, mają przed sobą wielkie zadanie do wykonania, a mianowicie: że z dotychczasowego charakteru spożywców nieprodukcyjnych, powinni się stać w ogóle całymi spożywczymi producentami, czyli inaczéj mówiąc: powinni stać się więcéj pracowitymi, przemysłowymi i oszczędnymi w zaspokajaniu swoich potrzeb i swoich chęci używania zasobów. Dobry obywatel nie może sobie lekceważyć tych uwag, ponieważ marnotrawstwo czasu i zbytek w używaniu zasobów przez wiele jednostek, jest zawsze wielką szkodą dla nich samych i dla całego ogółu mieszkańców miasta. Przykładów na to obecnie przywoływać niemam potrzeby, ponieważ skutkami wynikającymi z tych szkodliwych źródeł, wszyscy prawie dziś jesteśmy okoleni i widzimy tysiące zrujnowanych współobywateli i liczne tysiące mieszkańców cierpiących brak ciągłego i zyskownego zarobku, albo nawet niedostatek pożywienia, odzieży i mieszkania, z których to nieszczęśliwych, corocznie setki albo i tysiące ludzi umiera w ubóstwie i nędzy! Cóż na to zaradzić może znana litość bogatszych mieszkańców miasta, albo instytucje dobroczynne, gdy szeregi biednych i chorych gwałtownie zwiększając się, przynieść mogą tylko ulgę potrzebującym pomocy, ale nie będą nigdy w stanie wydobyć ich z tego położenia i doprowadzić do zamożności. Kapitały różne razem łączone i pożytecznie przez przemysłowe spółki używane, mogą zapewnić ludności pracującéj ciągły i korzystny zarobek i doprowadzić ją do trwałego dobrobytu; a zatem wielki obecnie ciąży na kapitalistach naszych obowiązek, aby dołożyli na przyszłość swoich starań i funduszami całymi takowe poparli, iżby zapewnić dla siebie zyski z przemysłu, a dla klassy rzemieślniczéj i pracującéj wynagrodzenie, któreby zaspakajało jej potrzeby i otwierało drogę do zabezpieczenia przyszłości, od doświadczanego dotąd niedostatku najpierwszych potrzeb do utrzymania zdrowia i życia.

Na pierwszy rzut widzi to każdy, że główna potęga, która może podnieść ogół mieszkańców miasta do upragnionego dobrobytu powszechnego, znajduje się w samych obligacjach Towarzystwa Kredytowego miejskiego, którémi długi z hypotek nieruchomości spłacane będą; ponieważ zaś te obligacje nie są gotową monetą stały kurs w kraju mającą, ale będą papierem za pośrednictwem którego właściciele domów będą zaciągać kredyt od publiczności, który będzie półrocznemi ratami przez ciąg lat 27 i miesięcy 6 spłacany procentem po 2% na kapitał, a po 5% od sta na procent bieżący i po $\frac{1}{4}$ od sta na koszta utrzymania biór Towarzystwa tego, przeto obowiązkiem jest każdego kapitalisty, który pragnie być uważany za dobrego obywatela Warszawskiego, starać się o utrzymywanie tych obligacyi miejskich czyli listów zastawnych w wysokim kursie. Tym sposobem papier ten, jako wysokie zabezpieczenie mieć mający na nieruchomościach miejskich, pod względem spłaty w kapitale i pod względem pobierania regularnego 5% od sta procentu rocznie, będzie nawzajem w wysokiem poważaniu u kapitalistów zagranicznych; a ztąd korzyści nietylko wypłyną dla właścicieli nieruchomości miejskich, dla kapitalistów i dla chwilowych posiadaczy tych papierów ale i dla ogółu mieszkańców miasta Warszawy, że będą mogli te papiery po wysokim kursie wydawać za inne wartości z kraju albo z zagranicy nabywane.

Gdyby w tu wskazanym kierunku kapitaliści nasi działać nie chcieli, a przeciwnie jeszcze starali

się o obniżanie kursu listów zastawnych miejskich, to przez to utrudniony zostanie rozwój działań Towarzystwa kredytowego miejskiego i opóźniony ztąd pożytek, a mieszkańcy m. Warszawy nieprędko doczekają się polepszenia bytu, o którym powyżéj była mowa, a naostatek straci na tém wiele kraj tutejszy, gdy wypłaty zagraniczne handlowe czynić będziemy tymi listami po nizkim kursie, a w lat kilka w zamian za kupowane u nas płody, też same listy może już po wysokości sto za sto brać będziemy. Listy kredytowe miejskie niewątpliwie będą późniéj papierem bardzo poszukiwanym, a zatem obecnie powinniśmy użyć wszystkich o to starań, żeby od rozpoczęcia się onych emissyj czyli puszczenia w obieg, mieć mogły kurs bardzo blizki ceny swojéj nominalnéj, kiedy na monecie obiegowéj ponosimy już wielkie straty opłacając saldo rachunków zagranicznych, albo zmienne (agio) od pieniędzy gotowych i weksli obcych krajów.

Założenie téj pożądanéj dla Warszawy Instytucyi kredytowéj, jest już dozwolone podług Ustawy w d. 31 Grudnia (12 Stycznia) 1869/70 r. Najwyżej zatwierdzonéj i ogłoszonéj, którą nabyć można po cenie kopiejek 10 za egzemplarz w biórze Komitetu Towarzystwa Kredytowego miejskiego w pałacu przy ulicy Przejazd pod Nr. 645 i 646 w godzinach od 12 do 2-éj po południu, każdego dnia powszedniego, a z któréj każdy obywatel objaśnić się dokładnie może o warunkach które spełnić musi, aby otrzymać pożyczkę na swoją nieruchomość. Życzyćby należało: aby ustawa ta do sprzedaży rozdzieloną była pomiędzy kantory pism perjodycznych i księgarnie, dla większego ułatwienia w nabyciu onéj i dla prędszego rozpowszechnienia.

Z najpotrzebniejszych teraz wiadomości podajemy: że od d. 8 b. m. w rzeczonym wyżéj biórze Komitetu, rozpoczęło się już przyjmowanie deklaracyi od właścicieli nieruchomości murowanych m. Warszawy i przedmieścia Pragi, którzy pragną zaciągnąć pożyczki na swoje nieruchomości od tegoż Towarzystwa i zostać jego członkami czyli stowarzyszonymi.

Każdy z przystępujących właścicieli powinien być jawnym z wykazu hypotecznego i dopełnić przed przystąpieniem do podpisywania deklaracji powyżéj rzeczonéj, tych formalności:

a) Uzyskać świadectwo od pisarza Kancellaryi hypotecznéj miasta Warszawy albo cały wykaz hypoteczny nieruchomości, że jest istotnym właścicielem téj nieruchomości z którą do pożyczki Towarzystwa kredytowego przystępuje.

b) Świadectwo Magistratu miasta Warszawy, jako dowód, na jaką summę ubezpieczoną jest od pożaru jego nieruchomość.

c) Kwit ze złożonéj w myśl § 20 Ustawy Towarzystwa kaucyi w kassie tymczasowéj tegoż Towarzystwa, urządzonéj w kantorze domu handlowego p. *Leopolda Kronenberga*, w Warszawie pod Nr. 542 przy ulicy Długiéj istniejącym. Wysokość téj kaucyi oblicza się po pół od sta procentu od ogólnéj summy pożyczki na nieruchomość zaciągnąć się mającéj, co na ten przykład od rs. 15,000, uczyni rs. 75. Czyni się tu uwaga, że korzystniéj jest żądać tak wysokiej pożyczki jaką będzie można od Towarzystwa uzyskać, ponieważ nie trzeba składać kaucyi wyższéj jak tylko od summy, która podług ustawy może być wypożyczoną.

Wysokość takiéj pożyczki wyrachować należy z przecięciowego dochodu (brutto) ogólnego z nieruchomości z lat 3-ch wziętego, a otrzymany ztąd dochód jednoroczny, pomnożyć trzeba przez liczbę 5. Summa ztąd powstała, może być od Towarzystwa wypożyczoną, jeżeli nieruchomość będzie na taką samą albo wyższą summę od ognia ubezpieczoną; w przeciwnym zaś razie można tylko żądać pożyczki do wysokości rzeczonego ubezpieczenia. Deklaracje przystąpienia do pożyczki są już we wspomnionem biórze Komitetu na drukach przygotowane i tamże zaraz po złożeniu trzech powyższych dowodów podpisywane być mogą.

Po dopełnieniu tych warunków, każdy właściciel nieruchomości nabywa te przywileje: że będzie mógł należyć do zebrań ogólnych członków Towarzystwa kredytowego miejskiego, wybierać współobywateli i sam być wybranym na członka lub Dyrektora urzędującego we władzach tegoż Towarzystwa. Ponieważ zaś obsadzenie tych urzędów osobami zdolnemi, nieposzlakowanéj prawości i z majątku odpowiedzialnemi, uważać powinniśmy za podstawę na której rozwijać się będzie działalność tego Towarzystwa, a z któréj tyle korzyści dla miasta Warszawy i ogółu jego mieszkańców spodziewamy się; przeto obowiązkiem jest właścicieli nieruchomości względem ogółu tych mieszkańców, pośpieszyć się z przystąpieniem do Towarzystwa kredytowego. [1])

Jan Wiland.
Właściciel posessyi Nr. 1404 i 1579.

LINA MORGENSTERN.

Rozwój Kuchni tanich w Warszawie świadczy, że cieszą się one ogólnem współczuciem naszéj ludności. Nawet mieszkańcy wsi rozumiejąc filantropijne znaczenie tych ludowych jadalni, przychodzili i przychodzą ciągle z ofiarami swemi. Zrozumiano, że ludziom ciężkiéj pracy, a miernego zarobku, należy dać pożyteczny i zdrowy pokarm, aby mogli daléj pracować, utrzymać rodzinę i wychować swe dzieci. Społeczność która rozumie doniosłość takich rzeczy — jest dojrzałą społecznością. Możemy się zatem sami sobą pochlubić. Ale jeżeli u nas kuchnie tanie powstały, winniśmy to tym, którzy z niemi nasamprzód nas zaznajomili. A zaznajomił nas najprzód Berlin, a Berlin nauczony został przez panią Linę Morgenstern, któréj portret drugostronnie zamieszczamy. Spowinowacona ona jest cokolwiek z nami. Raz, żeśmy jéj pomysł przeprowadzili u siebie w wykonanie, — powtóre, że mąż jéj Teodor Morgenstern, jest synem Michała Morgensterna doktora medy-

[1]) Podając powyższy artykuł p. *Wilanda*, Redakcja *Opiekuna Domowego*, ze swej strony uważa za konieczny obowiązek, złożyć w imieniu jéj czytelników pierwszym założycielom Towarzystwa, o jakiem mowa, szczerą podzięke za to: że zrozumiawszy potrzebę miasta i kraju, takową przedstawili pod uznanie rządu, który nadając sankcję instytucyi, ocenił tem samem ważność jéj dla licznych potrzebujących ratunku, zagrożonych wywłaszczeniem własności miejskich. Dalsze dzieje i rozwój téj instytucyi, na bacznéj mieć będziemy uwadze i sprawozdania o takowych, zamieszczać przyrzekamy, podobnie jak to już ma miejsce w tym N-rze *Opiekuna Domowego*, w oddziale *Rozmaitości*.

(*Przypisek Redakcji.*)

cyny, niegdyś fizyka województwa Kaliskiego, zmarłego na cholerę w Kaliszu r. 1848, a nadto szwagier jéj Aleksander Morgenstern był doktorem w Warszawie — 3-cie nakoniec, że ją mocno interesuje stan kuchni tanich w Warszawie, gdyż niedawno odnosiła się listownie do Warszawy — prożbą o przysłanie jéj sprawozdania z czynności tychże. Ojcem Liny Morgenstern był kupiec Baues w Wrocławiu, który swéj córce dał bardzo staranne wychowanie. Odznaczała się ona zawsze dobrocią serca i litością nad nędzą biedaków. Wyszedłszy zamąż, wyjechała do Berlina i poświęciła się piśmiennictwu. Pisała szczególniéj dla dzieci i była gorliwą rozpowszechnicielką metody Froebla, która obecnie i u nas zaczyna sobie zdobywać uznanie. Ogródków freblowskich założyła kilka w Berlinie, a chcąc jeszcze bardziéj wpłynąć na wychowanie młodzieży, otworzyła instytut guwernantek, wielce szacowany w całych Niemczech. Gdy zdrowie nie pozwoliło jéj zajmować się uciążliwemi czynnościami dyrektorki, usunęła się w roku 1866-m od tych obowiązków.



Lina Morgenstern.

Jednocześnie atoli wypadła wojna austryjacko-pruska. Wiadomo że wojny porywają do szeregów mężczyzn najczęściéj biednych, a żony i rodziny ich rzucają na pastwę nędzy. Toż samo powtórzyło się w Berlinie. Biedne rodziny landwerzystów, cierpiały nieraz wielki niedostatek. Dostrzegła to miłosiernego serca Lina Morgenstern i wtedy to przyszło jéj na myśl urządzenie tanich kuchni, gdzieby za małe pieniądze znaleść można pożywną strawę. I w krótkim czasie zawiązało się w Berlinie *Stowarzyszenie kuchni ludowych* i stowarzyszenie to w ciągu r. 1866 otworzyło kuchni sześć, w roku następnym było ich siedm a w r. 1869 liczba kuchni doszła do dziewięciu i przyjęte one były skwapliwie przez niezamożną ludność Berlińską. Dobry początek w Berlinie podziałał na dalsze strony; Królewiec pierwszy podążył za Berlinem. Warszawa podobno trzecią była z rzędu w otwieraniu kuchen, za Warszawą poszedł Wrocław, za Wrocławiem Poznań, Londyn i inne miasta. *Aleksander Makowiecki.*

TOMSK.

Może zechcesz czytelniku zajrzeć na chwilę do kraju rozległego, zajmującego dziesiątą część lądu całéj kuli ziemskiéj, który chociaż nie jest oddzielony od nas oceanami i leży w części świata będącéj kolebką ludzkości, był jednak poznany przez Europejczyków późniéj niż Ameryka. Jest nim Syberja. Południowo-zachodnia jéj część, była niegdyś siedliskiem narodu, który pod nazwą Mongołów najeżdżał Europę. Reszta bezludna, gdzie niegdzie tylko zamieszkana przez bardzo nieliczne dzikie plemiona, całkiem nieznana, pozostawała w stanię dziewiczym. W wieku szesnastym dopiero, kozak Jermak na czele swojéj gromady przekroczył góry Uralskie i posunął zdobycie na Tatarach aż ku Irtyszowi, gdzie niedaleko od stolicy tatarskiéj Iskieru albo Sybiru, utonął. Po nim Rossjanie posuwali się coraz daléj i nakoniec oparli się aż o Ocean Wschodni. Cały ten kraj olbrzymi, nazwano od wspomnionego miasta Sybirem. Takim sposobem począł się zaludniać, w wielu miejscach pozakładano miasta, twierdze, wsie, powycinano drogi i przeciągnięto główny trakt przez całą długość kraju.

Tobolsk przeznaczono na stolicę Syberji. Był on tam największym miastem. W zeszłym wieku Syberję rozdzielono na Wschodnią i Zachodnią. Na stolicę pierwszéj przeznaczono Irkuck, w ostatniéj zaś pozostawiono Tobolsk. Lecz obecnie zna-

czenie tego miasta poczyna upadać, natomiast podnosi się szczęśliwiéj położony Tomsk. W ilości mieszkańców przewyższył już on nieco Tobolsk i po Irkucku stał się najludniejszym. Można powiedzieć, że jest punktem środkowym ruchu w kraju. Położony przy wielkim trakcie i nad znaczną rzeką, stanowi obok Tiumenia najważniejszą przystań żeglugi w Syberji zachodniéj, co bardzo dla niego sprzyja, a przytem jest stolicą gubernji nader bogatéj.

Tomsk był założyny w r. 1604 i jako miasto prowincjonalne naprzód zawiadywał ówczesnymi powiatami: Narymem, Surgotem, Ketem, Kuźnieckiem, Krasnojarskiem i Jenisejskiem. Później po utworzeniu tob[illegible] Tomsk przeznaczono na miasto obwodowe, [illegible] wiatami: Kaińskim, Narymskim, Aczyńskim, Jenisejskim i Turuchańskim. Wreszcie w 1800 r. wyniesiony został na miasto gubernjalne. Aż do końca zeszłego stulecia w okolicach tego miasta Rossjanie musieli staczać walki ze zbrojnemi oddziałami krajowców, lecz te niedługo najzupełniéj uległy.

Obecnie w Tomsku liczą przeszło dwadzieścia tysięcy ludności. Główną jéj część stanowią Rossjanie; są i Tatarzy, którzy zajmują oddzielną część miasta nazywaną dla tego tatarską słobodą; jest tu także kilkuset katolików, ewangelików, oraz



DZIECI GÓRALSKIE.

(Obraz Wojciecha Gersona.)

Dzieci góralskie! kolebki wasze,
Matka huśtała bliżéj do Nieba,
W chatkach, zwieszonych jak gniazdka ptasze—
I wam, jak ptakom, lotu potrzeba!

W drobnem pisklęciu co we mchu leży,
Orlęcą siłę któż zgadnąć zdoła,
Co dumnem skrzydłem w chmury uderzy,
I w górskich echach, gromem zawoła?

Jak owe pisklę—tak ciebie dziatwo!
Kiedy w dziecęcéj igrasz swawoli,
Okiem i pędzlem pochwycić łatwo—
Bo ci brak pełnéj siły i woli....

Lecz gdy wyrośniesz—gdy skał urwiska,
I niebotycznych gór zbiegasz garby,—
Jakiż wzrok zdoła dojrzeć cię z bliska,
I na twój obraz, gdzie szukać farby?...

Mistrz, co ten obraz stworzyć zamarzy,
Niech bierze barwy z górskich potoków,
Z kwiecia, co cudnie wśród skał się żarzy,
Z srebrzystych lawin, z mętnych obłoków....

I ten swój obraz niechaj ożywi,
Światłem błyskawic, słońca i gromu,
Z szaleństwem wichrów—a świat zadziwi,
Tem—co nieznane jeszcze nikomu!...

Jan Prusinowski.

przeniesieniu tego zarządu z powodu większego zaludnienia się krajów wschodnich do Jenisejska, Tomsk przeszedł pod zwierzchnictwo Tobolska i tak pozostawał aż do roku 1782, w którym przy żydów.

Duszą miasta, rzec można, są kupcy. Handel też jest dość ożywiony. Tomsk jest jakby bramą pomiędzy wschodnią i zachodnią Syberją. Ciągle

tędy przechodzą z zachodu na wschód i nawzajem tak tu zwane *obozy*: są to gromady teleg albo sań jednokonnych, któremi się transportują towary. Ciągną one zwykle powoli, długim, pojedynczym szeregiem. Jest to zwykły sposób przewożenia lądem towarów w Rossji i Syberji. Od wschodu wiozą najwięcéj herbatę z Kiachty, w przeciwną zaś stronę towary z Europy. W lecie między Tomskiem i Tiumeniem, kursuje dwadzieścia kilka parowców, z których każdy ciągnie za sobą statki naładowane, zwane barżami. Z jednego ze wspomnionych miast do drugiego, parostatek zwykle płynie piętnaście, do ośmnastu dni. Żegluga rozpoczyna się około dziesiątego Maja i trwa do końca Września. Oprócz parowców, rzekę pod Tomskiem mającą blisko wiorstę szerokości, ożywia ciągle niemało bajdaków, łodzi, płytów i t. p.

W Grudniu odbywa się tutaj jarmark; jednak nie sprawia on wielkiéj wrzawy. Przybywają kupcy najwięcéj z kopalń złota dla różnych sprawunków, umów i najęcia do robót ludzi, których ugodziwszy ile potrzeba, daje się im po trzydzieści rubli zadatku i pod strażą kozaków prowadzeni są na miejsca poszukiwań.

Przemysł w Tomsku mniéj rozwinięty od handlu. Oprócz gorzelni, nie ma w mieście żadnych fabryk na większą skalę; są tylko niewielkie garbarnie, fabryki świec łojowych, oleju i kilka innych. Należy wymienić jeszcze hutę szklanną we wsi Nielubinie w pobliżu miasta, w któréj nawet wcale niezłe szkło się wyrabia.

Aby mieć wyobrażenie o wszystkich miastach Syberji z pozoru, dość jest poznać z nich mniéj więcéj jedno którekolwiek. Różnią się one bardzo od naszych, ale między sobą są bardzo podobne.

Tomsk leży na prawym brzegu rzeki Tomi; ciągnie się wzdłuż jéj koryta blizko na cztery wiorsty, chociaż mało co od niéj jest szerszy. Część miasta wzniesiona na parę tylko sążni nad poziomem rzeki, inne zaś zbudowane na wzgórzach. Środkiem przepływa mała rzeczułka zwana Uszajką, wpadająca do Tomi, przez którą zbudowane są dwa mosty. Ulice są szerokie, równe i niebrukowane, co w lecie w skutek kurzu, a na wiosnę i w jesieni z przyczyny nadzwyczajnego błota, staje się niezmiernie dokuczliwem. Po bokach ulic są chodniki z drzewa. Domy najwięcéj drewniane, często piętrowe, niemało jednak już jest i murowanych; wszystkie rozsiane są rzadko, otoczone mnóstwem gospodarczych zabudowań. Z budowli odznaczają się: gmach rządowy, mieszczący rozmaite biura, oraz kilka domów prywatnych. Cerkwi jest jedenaście, jeden klasztor, meczet, synagoga, kościołek ewangelicki, zbudowany od kilku lat, ale wewnątrz dotychczas nieukończony i kościołek katolicki parafialny na całą południowo-zachodnią Syberję. Kościołek ten niewielki, lecz dość ładnie nad spadkiem góry zbudowany i dzięki miejscowemu proboszczowi, utrzymywany starannie. Wewnątrz urządzony skromnie, jak to mówią, choć ubogo lecz chędogo. Oprócz ołtarza wielkiego ma dwa boczne, w których umieszczone są obrazy, nawet dobrego pędzla: jeden z nich przedstawia Św. Mikołaja, drugi Najświętszą Pannę z dzieciątkiem na ręku; jest to kopja z obrazu Murylla wykonana przez Chruckiego.

Z zakładów naukowych Tomsk posiada Gimnazjum męzkie; jest ich cztery w całéj Syberji. W Tomskiem znajduje się zwykle stu kilkudziesięciu uczniów. Oprócz tego jest tu gimnazjum żeńskie, szkoła powiatowa oraz seminarjum. Wypada jeszcze wymienić dwie ochrony: jedna z nich rządowa przy powiecie dla dzieci płci obojga, druga założona dla ubogich dziewcząt przez jednego z najbogatszych kupców tutejszych, który przez to wyświadcza niemałe dobrodziejstwo. Robi on jeszcze inną przysługę dla publiczności, przez urządzenie dla niéj dość ładnego ogrodu spacerowego.

Na ulicach Tomska niema takiego gwaru jak po naszych miastach; nie roi się tyle ludu, nie słychać turkotu powozów po bruku. Miasto to więcéj ożywia się w zimie a najbardziéj na zapusty. Są to ulubione przez mieszkańców święta. Odbywa się wtenczas zabawa, zwana *katanie;* jest to rodzaj kuligu: tłumy sań zalegają ulice i przez kilka godzin jedne za drugiemi powoli ciągną. Konie bywają rozmaicie poprzebierane i lud też przyodziewa się nieraz w dziwaczne ubiory, maski i t. d. Oprócz téj zabawy pourządzane są ślizgawki, karuzele i t. p. Ożywione dość bywają także święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Te ostatnie odznaczają się tém, że w ciągu kilku dni głos dzwonów prawie nie ustaje, bo każdy niemal z mieszkańców po kolei idzie pomagać dzwonić. Tomsk posiada także i teatr. Niema wprawdzie stałéj trupy aktorów, lecz przybywają tu często artyści, dający naprzemian przedstawienia we wszystkich znaczniejszych miastach Sybiru. W lecie większa cichość panuje w mieście; mniéj bo Sybirak widzi uroku w téj porze; woli on zimę, któréj mrozy nie łamią wierności. Latem przechadzki miejskie nie są tu bardzo rozpowszechnione, chociaż służą ku temu dwa ogrody prywatne, oraz gaj brzozowy. Majówki jednak są zwyczajem. Pierwszą na nich rolę gra samowar, równie jak i w wielu innych zabawach, bo trzeba wiedzieć: że jest on prawie nieodstępnym towarzyszem mieszkańca.

Majówkom sprzyjają piękne a bardzo rozmaite okolice. Po za obrębem miasta nie znajdziesz gęstych siedzib ludzkich, widzisz przed sobą błonia przez człowieka jeszcze niepodzielone i naturę wolną. Widoki są bardzo malownicze. Raz dzikie, ponure, to znowu miłe, łagodne. Tu Tom szeroka toczy z powagą swe nurty kryształowe i z jednéj strony obmywa podnóża najeżonych wzgórz skalistych; gdy staniesz na ich szczycie, ujrzysz na przeciwnym brzegu stepy rozległe. Owdzie bystry potok płynie śród majowych gajów, pagórków i łąk. Gdzieindziéj znowu wzgórza poprzecinane głębokimi i przepaścistymi wąwozami. Gdy wędrowiec stanie w tych okolicach, na niektóre zwłaszcza widoki nie może się dość napatrzeć, lecz skoro rój wspomnień stanie w jego pamięci, zwraca tęschne wejrzenie ku zachodowi, ku Europie, od któréj odbiegł daleko a mającéj dla każdego Chrześcijanina jakiś urok niewypowiedziany; z wejrzeniem śle myśli i zapomina o tém co mą przed sobą.

Mniej więcéj w bliskości Tomska bogatsi mieszkańcy miasta mają kawałki ziemi, a na nich pobudowane dworki *zaimki* zwane, stanowiące rodzaj willi, do których na lato nawet się wynoszą. Zaimki takie zwykle położone na wzgórzach nad strumieniami, bywają często bardzo urocze.

Wzgórza które Tomská dotykają, są to ostatnie kończyny wyniosłości gór ałtajskich na północy. Główne pasmo małego Ałtaju przerzyna południową część gubernji. Góry te i ich odrośle ukrywają wielkie bogactwa w złocie, srebrze i innych kruszcach, poszukiwaniem których zajmują się kupcy-przemysłowcy. Zarząd górniczy znajduje się w mieście powiatowem Barnaule. Dobywanie złota jest jednem z główniejszych zajęć mieszkańców gubernji. Prócz tego ludność zajmuje się rolnictwem, chowem bydła, koni i owiec, polowaniem, rybołówstwem i pszczolnictwem. To ostatnie jest nawet w stanie kwitnącym i pszczoły tutejsze, jedyne w Syberji, chociaż lip nie znajdują, dostarczają miód doskonały i obfity. Co się tycze rolnictwa, to nie stoi bardzo wysoko. Niektóre pasy ziemi nadzwyczaj urodzajne, ale dość wiele jest miejsc piasczystych i bagnistych, a szególniéj na północy. Ziemi uprawianéj stosunkowo do rozległości gubernji jest bardzo mało. Gubernja Tomska zajmuje 14 tysięcy mil kw. powierzchni, z tego zaś roli pod uprawą jest tylko do 900 tysięcy diesiatyn (1800 morgów). Resztę zajmują łąki, bagna i lasy zwane *tajgami.* W lasach tych rosną pospolicie: sosna, jodła, świerk modrzew, cedr, a z drzew liściowych brzoza, osina i czeremcha. Cedr jest drzewem ładnem i wspaniałem; wydaje ono w swych szyszkach drobne orzechy: jest to jedyny tu owoc krajowy. Srogość zimy i nagłe przejścia pór roku, nie sprzyjają drzewom owocowym. Za to w lasach jest wielka obfitość jagód, a łąki pokrywają się nadzwyczaj obfitą trawą i mnóstwem pięknych kwiatów. Wszelka ogrodowizna wybornie się udaje; rosną nawet arbuzy i melony. W ogóle drobniejsza roślinność w skutek wielkich upałów, jakby chcąc skorzystać z krótkiego lata, doskonale wybuja. Ogromna też jest w tych stronach obfitość ryb, ptastwa i wszelkiego zwierza. Nie mówiąc już o zwierzynie drobniéjszéj i pospolitszéj, należy wymienić rysie, niedźwiedzie, renifery, lisy czarne i mnóstwo ptaków, gatunków odpowiednich klimatowi. Z ryb najgłówniejsze gatunki: jesiotry, łososie, sterledy. Z czasów przedpotopowych, znajdują tu ciągle szkielety mamutów i wiele różnych skamieniałości.

Wypada wspomnieć o koniach. Pochodzące z gubernni Tomskiéj, a szczególniéj nadymskie i kuźnickie słyną w Syberji. Nie są to konie rosłe i pokaźne, owszem, dość małe, lecz za to dzielne bieguny, silne, a przytém ogromnéj wytrwałości. Dla Sybiraka niestraszne wielkie przestrzenie. Sto wiorst dla niego to samo, co dla nas trzy mile. Przebywa je dziarskiemi końmi często bez popasu, pędząc je co sił starczy czy to z góry, czy pod górę. Po odbytéj tylko przejażdżce stawia zmęczonego rumaka, na całą nieraz dobę, na więzi pod gołem niebem, nie zważając czy to lato czy zima, mróz czy zamieć i nie daje mu przez ten czas ani jeść , ani pić; nazajutrz koń zdrowiutki. Takie też rumaki są dla Sybiraka potrzebne. Wsie gubernji Tomskiéj w najludniejszych okolicach położone, są jedna od drugiéj mniéj więcéj o wiorst dwadzieścia. Najgęstsze około głównych dróg i rzek. Te ostatnie są liczne i wielkie. Ułatwiając kommunikację, wyświadczają znaczne dobrodziejstwo dla tutejszej ludności.

Ludność gubernji Tomskiéj składa się głównie z Rossjan, Tatarów, Ostjaków, Teleutów, Kałmyków i części Kirgizów. Wszystkich razem jest przeszło 700 tysięcy.

Przyroda téj guberoji jest bardzo bogatą a zarazem piękną, brak tylko ludzi i dotkliwą jest zbyteczna srogość klimatu. Wiosna jest bardzo nagłą i krótką; lody z rzek ustępują zwykle w drugiéj połowie Kwietnia. W Czerwcu, Lipcu trwają upały, dochodzące czasem do 32 st. R[a] w cieniu. Dlatego po miastach i po wsiach, w lasach i na stepach, zdarzają się często pożary. Powietrze przejmuje się dymem tak, że na słońce w samo południe można bez przykrości patrzeć. Pomimo to jednak lato nie jest stałe; powietrze często nagle się zmienia i chłód trwa dni kilka. Zima rozpoczyna się w Październiku,—najstalszą jest w Listopadzie, Grudniu, Styczniu, Lutym i Marcu. Nie bywa w ciągu tego czasu odwilży, termometr opada niekiedy do 45 st. R[a]. Wtenczas spokój największy panuje w powietrzu i gęsta mgła świat pokrywa. Słychać tylko mocne skrzypienie idących, oraz częste trzaskanie drzewa w budynkach.

W takie chłody wypadki odmrożenia uszu, nosa lub policzków są rzeczą zwyczajną. Niektórzy radzą sobie ogrzewając się błogiem winem (tak tutaj wódkę zowią) lecz niestety, często wyszedłszy zawcześnie po rozegrzaniu się, słabną na drodze, padają i w jakichś snach, może nawet i przyjemnych, kończą troski ziemskiego żywota.

Konrad Prószyński.

MIŁOŚĆ i MIŁOŚĆ.

DRAMAT w 2-ch AKTACH

PRZEZ

M. Dzikowskiego.

OSOBY.

Żarecki, lat 51.
Julja, jego druga żona, lat 21.
Aniela, jéj pasierbica, lat 18.
Doliwa, lat 54.
Wacław, lat 30.
Służący.

Rzecz dzieje się w obydwóch aktach na wsi, u Żareckiego.

AKT I-szy.

Teatr przedstawia salon, gustownie i bogato umeblowany, kanapy, jedna blizko drzwi, koło któréj stoi stół, lustra, okna i fortepian.

SCENA I.

ŻARECKI, DOLIWA.

ŻARECKI (*chodząc*). Ale też doprawdy, długo na siebie każesz czekać; przez trzy tygodnie, ani zajrzałeś do nas...

DOLIWA (*siadając*). Wyznaję ci szczerze: umyślnie nie przyjeżdżałem...

ŻARECKI (*stając*). Umyślnie?.. a to dlaczego?..

DOLIWA. Dlatego, że nie chcę być świadkiem różnych scen bolesnych, jakie, według mego zdania, najniesprawiedliwiéj wyprawiasz swojéj żonie..

ŻARECKI. Najniesprawiedliwiéj... Słuchaj! dałbym wytoczyć połowę krwi mojéj, żeby być pewnym, że ją podejrzywam niesprawiedliwie... ale...

DOLIWA. Ale nie wierzysz jéj...

ŻARECKI (*po chwili*). Nie wierzę...

DOLIWA. Dla czego?..

ŻARECKI. Ja nie wiem dla czego .. alebym przysiągł...

DOLIWA (*przerywa*). Co?... ty zdolny byłbyś przysiądz, że cię żona zdradza?...

ŻARECKI (*wahając się*). Bo widzisz... ja zresztą nie wiem, co mówię... ale czuję, że jestem nieszczęśliwy, że do

serca mojego sączy się powoli trucizna... kropla po kropli... że jakaś obca, podła ręka, wyciska hańbiącą plamę na mojem czole... Dlaczego ja to czuję?... dlaczego?... bo mnie całego ogarnęło zwątpienie... A wiesz ty, co to wątpić o honorze, o miłości swojéj żony?.. Czy ty myślisz, że to tak łatwo powiedzieć: „nieprawda!", kiedy raz jeden, chociażby tylko maleńkie prawdopodobieństwo, rzuci ci się w oczy... Och, ty tego nie rozumiesz—a ja ci powiadam, że to prawdziwe piekło, z którego wychodzisz warjatem, albo cię wyrzucają inni, spalonym kamieniem...

DOLIWA. Poczekaj—pomówmy o tém na zimno...

ŻARECKI. Alboż to można mówić na zimno o takich rzeczach...

DOLIWA. Wierzysz w moją przyjaźń?..

ŻARECKI. Jeszcze się pytasz?.. To, co ci mówię, powiada się tylko prawdziwemu przyjacielowi, a potém czyż mi wolno choćby na minutę zapomnieć, że kiedy byliśmy w wojsku, byłeś moim rodzonym bratem... uratowałeś mi życie...

DOLIWA. Nie o tem, chciałem mówić...

ŻARECKI (*biorąc za rękę Doliwę*). Ach, gdybyś dziś był w stanie uratować...

DOLIWA. Zastanów się... pomyśl tylko, jakie masz powody podejrzywać swoją żonę?..

ŻARECKI. Jest dla mnie zimna... lodowata... ona kocha innego... ona jest młoda... a ja...

DOLIWA. A ty?..

ŻARECKI. A ja mam lat pięćdziesiąt dwa...

DOLIWA. Mój kochany, nie w porę zapewne dawać ci teraz nauki, ale wybacz mi, gdy powiem, że dwudziestoparo-letnia kobieta, nie może cię tak kochać, jakby mogła kochać młodego człowieka...

ŻARECKI (*gwałtownie*). A dlaczego poszła za mnie!...

DOLIWA. A dlaczego się z nią ożeniłeś?..

ŻARECKI. Bom ją kochał...

DOLIWA. A ona?..

ŻARECKI. Ona?.. ona... ja nie wiem... nie pytałem się jéj... myślałem...

DOLIWA. Cóż myślałeś?..

ŻARECKI. Myślałem, że mnie kocha... nic nie mówiła.. nie sprzeciwiała się...

DOLIWA. Naturalnie, nie mogła się sprzeciwać, bo była młoda, uboga... Stanąłeś przed nią, zażądałeś jéj ręki... powiadziano jéj: idź za niego—to człowiek nie młody, ale bogaty—da ci pozycję, będziesz pomocna dla całéj rodziny, dla matki staréj... Poszła więc za ciebie i masz żonę; ale miłości od niéj, nie miałeś prawa wymagać, boś jéj się nigdy o to nie pytał...

HUMORESKA.

Pomysł i rysunek

Leona Kunickiego.



(Zagadka nielada).

— PAN FRANCISZEK (do siebie): „Djabli wiedzą co robić: czy iść na flaki, czy oświadczyć się pani Marcinowéj"?!!

ŻARECKI. A jednak, gdyby mi była powiedziała...

DOLIWA. Ona ci nic nie mogła powiedzieć... ale słuchaj poczciwy kolego, słuchaj bracie, zapytaj się własnego sumienia: czy ty, pięćdziesięcioletni mężczyzna, miałeś prawo kłaść kajdany na serce dwudziesto-letniéj dziewczyny?.. Czy miałeś prawo narzucać się jéj na męża wtedy, kiedy mogłeś być jéj ojcem?...

ŻARECKI (*opryskliwie*). A, mój kochany — trudno, stało się... ale dziś powinno być inaczéj — całe położenie rzeczy zmieniło się...

DOLIWA. Zmieniło się na gorsze, z twojéj winy...

ŻARECKI. Zanadto boleśnie żartujesz ze mnie...

DOLIWA. Wcale nie żartuję... Postępowanie twoje z żoną, zrodziło w niéj zupełną obojętność. Rok temu, jakeście się z sobą pobrali — wkrótce po ślubie, zamiast postępowaniem swojem zasługiwać sobie na szacunek u niéj, zacząłeś ją śledzić, szpiegować, upokarzałeś ją na każdym kroku... i pomimo woli, zmuszałeś zwracać myśli swoje do przeszłości, w któréj pogrzebała wszystkie swoje dziewicze nadzieje, a przecież wiedziałeś o tém, że Julja, zanim wyszła za ciebie, kochała młodego człowieka i posiadała jego wzajemność...

DOLIWA (*gwałtownie*). Kochała innego!?.. kogo kochała!?...

ŻARECKI. Nie wiem.

DOLIWA (*j. w.*). Nie prawda!.. ty wiesz!.. ty musisz powiedzieć...

DOLIWA. Nie wiem.

ŻARECKI. A ja nic o tém nie wiedziałem... — Więc ona kochała innego... (*gwałtownie do Doliwy*). Kogo kochała!?..

DOLIWA. O, powiadam ci, że nie wiem...

ŻARECKI (*błagalnie*). Zlituj się nade mną... powiedz mi, kogo Julja kochała... Ty wiesz... powiedz mi... ty wiesz wszystko...nie oszczędzaj mnie, bo mnie zabijasz...

DOLIWA. Uspokój się... daję ci słowo honoru—nie wiem... I mogę ci zaręczyć, że jeżeli Julja kocha dzisiaj—to tylko wspomnienie tych chwil szczęśliwych, z których ty nielitościwie wyrwałeś ją...

ŻARECKI. Wspomnienie... gdybym je mógł wygładzić na zawsze...

DOLIWA. Był czas, że mogłeś to zrobić, mogłeś powoli zatrzeć obraz tego, którego żona twoja przed ślubem kochała... dziś już zapóźno... Chciałeś być w 50-tym roku kochankiem, a nie potrafiłeś być rozsądnym mężem...

ŻARECKI. Milcz!.. proszę cię...

DOLIWA. Przeciwnie — powinienem ci jeszcze powiedzieć, że dziś wzbudziłeś w Julji dla siebie lodowatą obo-

(Patrz Dodatek)

jętność, a jeżeli tak daléj z nią postępować będziesz, zacznie tobą pogardzać i nienawidzieć...

ŻARECKI. Ja jestem bardzo nieszczęśliwy!..

DOLIWA. A jednak, należałoby także pamiętać, że masz córkę...

ŻARECKI. Moja córka nie ma nic wspólnego z Julją— ona jest dzieckiem kobiety, która mnie tak gorąco kochała....

DOLIWA. Tak jest, pamiętaj jednak o tém, że Aniela ma lat 18-cie, i podobne sceny, jakie wyprawiasz swojéj dzisiejszéj żonie, mogą jéj dać wiele do myślenia...

ŻARECKI. Niech wie, że ma nieszczęśliwego ojca... powinna o tém wiedzieć... niech ją strzeże... i niech mnie zasłania od hańby...

DOLIWA. E, imaginujesz sobie jakąś hańbę, która nie istnieje... kobieta, jeżeli nie kocha mężczyzny,—to jeszcze nie hańbi go...

ŻARECKI. A żona, jeżeli nie kocha swego męża?..

DOLIWA. To smutne; ale w znacznéj części sobie samemu, powinieneś to przypisać...

ŻARECKI. Piekielnym jesteś dzisiaj filozofem...

SCENA II.

ŻARECKI, DOLIWA, JULJA.

JULJA (*wchodząc*). Przepraszam panów—może przeszkadzam...

ŻARECKI. Od dzisiejszego dnia, zakazuję ci tych majówek...

JULJA. Nie masz prawa, mój kochany...

ŻARECKI. Zobaczymy... (*dzwoni gwałtownie*).

(*wchodzi Służący*).

SCENA III.

CIŻ i SŁUŻĄCY.

ŻARECKI (*do Służącego*) (*po chwili namysłu*). Zaczekaj!..

JULJA (*do służącego*). Później przyjdziesz do pana— możesz odejść teraz.

SŁUŻĄCY (*do Żareckiego*). Proszę łaski pana....

ŻARECKI. Idź do djabła!.. (*Służący wychodzi*).

SCENA IV.

CIŻ oprócz SŁUŻĄCEGO.

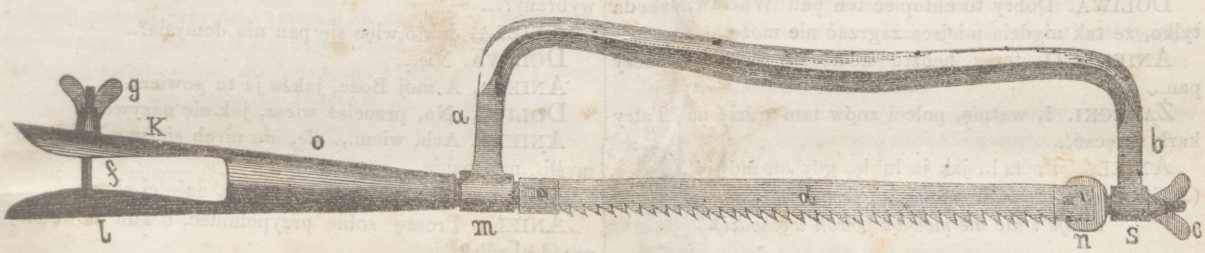
JULJA. (*do Doliwy*). Wie pan, panie Doliwa, doktór mi w tym roku kazał jechać do Ostendy...

DOLIWA. Ja, bo nie wierzę w te morskie kuracje...

JULJA. Dlaczego pan nie wierzy?..

ŻARECKI. Nigdzie nie pojedziesz... ja zostaję całe lato w domu...

JULJA. W takim razie, ja sama pojadę...



Piłka do obrzynania gałęzi wysokich drzew bez użycia drabinki (Strona 144-ta).

DOLIWA (*podchodząc do Julji*). O, przeciwnie, łaskawa pani—witam panią. (*podaje jéj rękę*).

JULJA. Jak się pan miewa—rzadkim pan jesteś teraz gościem u nas...

DOLIWA. Zwyczajnie, proszę pani, starość nie radość, ciężko mi już często z domu wyjeżdżać. Człowiek się tyle biedy nacierpiał, to rad teraz, że ma kawałek cichego i spokojnego kąta...

JULJA. Jakie to nieszczęście, że pan nie masz żony, któraby panu osładzała dzisiejszą samotność...

ŻARECKI (*ponuro*). Czasem takie nieszczęście, jest prawdziwem szczęściem...

JULJA. To prawda, że częstokroć przyjemniejsze klasztorne życie, aniżeli...

ŻARECKI (*przerywa*). Aniżeli co?...

JULJA (*chłodno*). Aniżeli cudze przywiązanie dochodzące do prostego tyraństwa...

ŻARECKI. Czy tak?..

JULJA (*j. w.*). Tak.

DOLIWA. Naturalnie, że takie przywiązanie świętego by zniecierpliwiło, a w końcu staje się śmieszne...

JULJA. Co też to za prześliczny Maj tego roku... Pan zapewne nie wie, panie Doliwa, że co dzień jeżdżę sobie na majówkę, o godzinie 3-éj z rana...

ŻARECKI. Na majówkę jeździsz?.. co dzień... dlaczegoż ja o tem nic nie wiem...

JULJA. To rzeczywiście dziwne, dlaczego nie wiesz... wszak wiesz wszystko, nawet to, czego ja nie wiem... (*do Doliwy*). Co to za rozkosz oddychać świeżém powietrzem, i przysłuchiwać się pierwszym piosnkom budzących się skowronków...

ŻARECKI. Nie pojedziesz!..

JULJA. Przyrzekłam ściśle pilnować się przepisu doktora...

ŻARECKI. Doktór jest głupiec...

JULJA. Doktór jest człowiekiem bardzo rozległéj nauki, a przytém, pomimo, że młody, posiada ogólny szacunek i poważanie...

ŻARECKI. Zapewne—szczególniéj u ciebie posiada szacunek, dla tego właśnie, że jest młody... O, ja wiem—dla twego zdrowia, najlepiéjby było, żebyś z nim razem pojechała... z tym młodym doktorem...

DOLIWA (*ciszéj do Żareckiego*). Zastanów się, co ty mówisz...

JULJA (*powstając, do męża*). Proszę się nie zapominać!..

ŻARECKI. Proszę lepiéj pamiętać o obowiązkach, jakie zaciągnąłeś dla mnie w obec Boga i ludzi... proszę pamiętać, że nie jestem malowanym mężem...

JULJA. Dosyć tego... Ubliżałabym sama sobie, gdybym się chciała tłómaczyć... Wolno ci myśleć, co się podoba... Moje sumienie, jest wskazówką, dla moich postępków... Nie lękam się niczego...

DOLIWA (*ciszéj do Żareckiego*). Córka twoja nadchodzi—miejże wzgląd na to niewinne dziecko...

SCENA V.

ŻARECKI, DOLIWA, JULJA, ANIELA.

DOLIWA (*podchodząc do wchodzącéj Anieli*). A panna Anielcia — jakżeż prześlicznie dziecko wygląda... A jaka

kokietka... Jak to wie, że plecionka z bławatków do twarzy jéj... (*bierze ją za rękę*).

ANIELA (*pokazując na plecionkę*). To podarunek od Balbisi...

DOLIWA. Za co?...

ANIELA. Na pamiątkę, że jéj matka wyzdrowiała...

DOLIWA (*uśmiechając się*). A kto chodził z lekarstwami do téj choréj matki Balbisi...

ANIELA. A nikt nie chodził...

DOLIWA (*pokazując palcem*). A raczka się spiekło...

ANIELA (*odwracając się*). E, pan zawsze mi się sprzeciwia.... Ale już mniejsza o to—ja tu przyszłam do państwa z nowiną...

ŻARECKI. Z jaką nowiną, moje dziecko...

DOLIWA (*żartobliwie*). Pewno się kto żeni, albo kocha...

ANIELA. Odebrałam list od mojéj koleżanki Józi z Warszawy, donosi mi, zgadnijcie państwo co?...

JULJA. No, cóż takiego?...

ANIELA. Że pan Wacław wrócił już z zagranicy...

JULJA (*nieco zmieszana*). Pan Wacław wrócił?.. kiedy?..

ANIELA. O, już parę tygodni temu... Jak mi pisze Józia, zaraz miał wyjechać z Warszawy, do domu i zapewne już jest u siebie, możemy się więc go spodziewać lada chwila u nas, bo tak blisko od nas mieszka... Ach, jak ja bym go chciała jak najprędzéj zobaczyć, po dwóch latach niewidzenia...

JULJA (*na stronie*). Przyjechał... miałam przeczucie, że wkrótce przyjedzie...

DOLIWA. Dobry to chłopiec ten pan Wacław, szkoda tylko, że tak nigdzie miejsca zagrzać nie może...

ANIELA. O, teraz będzie siedział w domu, zobaczy pan...

ŻARECKI. I, wątpię, poleci znów tam gdzie na Tatry kark skręcać...

ANIELA. Poeta!.. jak ja lubię, gdy on mówi!..

(*Julja podczas ostatnich djalogów, jest zamyślona—po chwili wstaje i nic nie mówiąc powoli wychodzi*).

SCENA VI.

ŻARECKI, DOLIWA, ANIELA.

DOLIWA. Panna Anielcia, lubi poetów, co?...

ANIELA. O, tak, ja bardzo lubię poetów...

ŻARECKI (*do Doliwy*). No, mój kochany, zostaniesz się przecie dzisiaj u nas?...

DOLIWA. I owszem, i owszem...

ŻARECKI. Bawże go więc tutaj Anielko—ja muszę w pole wyjechać—do widzenia!... (*wychodzi*).

SCENA VII.

ANIELA, DOLIWA.

DOLIWA. Więc panna Anielcia lubi poetów?..

ANIELA. O, bardzo...

DOLIWA. A może jakiego jednego poetę bardziéj — hę?.. co?..

ANIELA. A może...

DOLIWA. Na przykład, jakiego?..

ANIELA (*podchodząc do Doliwy*). Ach, ja już dawno chciałam panu coś powiedzieć...

DOLIWA. Słucham, słucham...

ANIELA. Bo widzi pan... ja się nie mam kogo poradzić... w bardzo ważnéj rzeczy... Ojciec od jakiegoś czasu, jest taki nieprzystępny... Z macochą nie śmiem o tem mówić...

DOLIWA. Więc do mnie się udajesz moje dziecko...

ANIELA. Ja do pana mam nieograniczone zaufanie... a ponieważ pan mi tyle razy mówił, że mnie kochasz, jak własną córkę...

DOLIWA. Tak, mówiłem to i powtarzam jeszcze raz—a przecież cię wypiastowałem na moich rękach...

ANIELA. Więc, chcę panu powierzyć moją tajemnicę...

DOLIWA. Tajemnicę?... Jakąż to tajemnicę?..

ANIELA (*ogląda się kładzie palec na ustach i mówi zniżonym głosem*). Kocham się... (*spuszcza oczy i wciąż trzyma palec na ustach*).

DOLIWA (*udając przerażenie*). Wszelki duch pana Boga chwali!..

ANIELA (*zafrasowana naprawdę*). Czy to na prawdę takie straszne rzeczy?...

DOLIWA. (*j. w.*) Okropne!..

ANIELA (*j. w.*). I cóż ja tu pocznę, biedna kobieta...

DOLIWA (*j. w.*). Jest tylko jedna rada...

ANIELA. Tylko jedna... a jaka?...

DOLIWA. Wyjść za mąż...

ANIELA (*po chwili*). A wie pan co, że to bardzo dobra rada...

DOLIWA. Tak?..

ANIELA. Ale ma się rozumieć wyjść za mąż, za tego, którego się kocha...

DOLIWA. Naturalnie.

ANIELA. O, bo ja panu muszę powiedzieć, że tylko raz i jednego mogę kochać, ale kocham go tak głęboko, że, gdyby mi kto chciał wyrwać tę miłość z serca... to... by mi i serce wyrwał...

DOLIWA. No, no — takich strasznych rzeczy nie będzie... Ale powiedz-że mi, moje dziecko, któż to jest ten wybrany?...

ANIELA. Jakto,więc się pan nie domyśla?..

DOLIWA. Nie...

ANIELA. A mój Boże, jakże ja tu powiem...

DOLIWA. No, przecież wiesz, jak się nazywa?...

ANIELA. Ach, wiem... ale, ale niech się pan lepiéj domyśli...mój panie...

DOLIWA. Nie wiem... nie mogę... daję ci słowo ..

ANIELA. Proszę sobie przypomnieć, o kim mówiliśmy przed chwilą?..

DOLIWA. Mówiliśmy o panu Wacławie, ale przecież tego przez dwa lata nie było, więc się w nim nie mogłaś zakochać...

ANIELA. A! proszę pana, a co mogło być jeszcze przed temi dwoma laty?..

DOLIWA. Tak .. więc to już dwa lata aniołek się tak zawzięcie kocha...

ANIELA. Trochę więcéj, jak dwa lata...

DOLIWA. Jakże, tak się kochacie, i nikt o tem nie wiedział?..

ANIELA. O, przepraszam—ja go kocham — ale, ja mu tego nigdy nie mówiłam...

DOLIWA. A Wacław?..

ANIELA. Wacław także mi nic nie mówił... ale...

DOLIWA. Ale cię kocha?...

ANIELA. Nie wiem... zdaje się... ach, mój najdroższy panie—ja już dawno znam Wacława...

DOLIWA. A skądże ty go tak dawno znasz — przecież niedawno mieszka w naszych stronach?..

ANIELA. Ja nie wiem, jak się to zrobiło, ale ja go nigdy pierwszy raz nie widziałam... W każdéj książce spotykałam się z nim, w każdéj powieści, którą czytałam, Wacław był jéj bohaterem... a kiedy mi pierwszy raz stanął przed oczy, to właśnie był ten sam, o którym już dawno myślałam, i zdawało mi się, że przyszedł dla tego, żeby urzeczywistnić moje marzenia...

DOLIWA. Oj ty poetko mała!..

ANIELA. Potém Wacław pojechał... nie było go przez dwa lata... ale ja go ciągle widziałam... Wrócił teraz, lada

chwila będzie tutaj... Tak mi serce bije... czuję, że się zbliża stanowcza chwila...

DOLIWA. O, ba—ja mu zaraz powiem...

ANIELA. A, nie — niech mu pan nic nie mówi... niech Bóg broni... sam powinien zrobić to, co mu serce dyktuje... Nie, nie, nie—musisz mi pan dać słowo, że mu nic nie powiesz, ale to nic, a nic...

DOLIWA. Cóż mam robić... nic mu nie powiem (*patrząc się w oczy Anieli*). Musisz go bardzo kochać moje dziecko—tego Wacława...

ANIELA. Och panie Doliwo—ja nie wiem, czy kobieta więcéj zdolna jest kochać...

DOLIWA (*n. s.*). No, proszę mi powiedzieć, czy to nie prawdziwy anioł w kobiecem ciele!!.. (*Słychać turkot powozu za sceną*).

ANIELA. Słyszysz pan, ktoś zajechał... (*patrzy w okno*) Wacław! jak mamę kocham, Wacław!.. Ach, jak mi serce bije!.. Panie Doliwa, co tu zrobić, żebym była spokojną?..

DOLIWA. Usiądź, moje dziecko...

ANIELA. Ach, to tak łatwo panu powiedzieć, ale ja nie mogę usiąść... doprawdy nie mogę... Co ja tu zrobię?.. Co raz bardziéj bije... A już to, prawdę powiedziawszy, nigdy sobie nie mogę dać rady z tém mojem sercem...takie nieposłuszne... (*podczas ostatnich djalogów, chodzi żywo po scenie*).

DOLIWA (*n. s.*). Biedna dziewczyna... Nie na wiele ja się tu przydam. Lepiéj ich zostawić samych... (*wychodzi nieznacznie*).

ANIELA (*ogląda się*). Masz tobie! Sama zostałam... I, lepiéj późniéj przyjdę... (*biegnie ku drzwiom i zastanawia się—wraca*). Możeby lepiéj było zostać... (*zastanawia się*). Najlepiéj usiądę sobie do fortepianu i będę grała... (*siada do fortepjanu i gra walca „il Baccio"*). (*d. c. n.*)

ECHO ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

I.

* * *

Podobno najmodniejszy obecnie kolor, nazywa się *kolorem wody Nilowej.* Od biedy można jeszcze sobie wyobrazić przez przypuszczenie, że kolor ten jest zbliżony do barwy wód rzeki krainy Faraonów. Ale niech nam kto wytłómaczy jakie to były kolory za Ludwika XVI, noszące nazwy: koloru *stłumionych westchnień, łez niedyskretnych,* lub *nimfy rozczulonej?* a był podówczas modnym także kolor *błota paryzkiego,* i *couleur puce* (kolor pchły), i t. p. Mody miewają swą własną logikę—logikę niedorzeczności.

* * *

Rozmawiano niedawno w kółku rodzinném o jakiemś niezgodném małżeństwie. Dziewczynka podlotek odezwała się ze zdaniem, że na zasadzie takiego a takiego punktu prawa, małżeństwo to mogłoby postarać się o rozwód. Zdumieni rodzice panienki, usłyszeli z ust jéj wyliczonych piętnaście punktów rozwodowych, i dowiedzieli się że córa ich nauczyła się ich ex officio— i że jest przeto mędrszą od nich samych.

Obecny temu zajściu młodzieniaszek, niezmiernie był upokorzonym mądrością panienki—ojciec zaś jéj utopił wzrok w ziemię, matka załamała ręce.

* * *

Widzieliśmy niedawno fotografję przedstawiającą nader tkliwą scenę. U nóg matki na ziemi tarza się dwoje dzieci, a matka na rękach piastuje... psa.

Ktoś z patrzących dowodził, że wizerunek ten miał posługiwać do uwydatnienia idei — emancypacji kobiet.

* * *

W Niemczech wino znane u nas pod nazwą stołowego, z téj racji zapewne, że kto go raz u kogo skosztuje już więcéj nigdy nie zawita na proszony obiad, w trzech gatunkach bywa wyróżniane. Filwajn—to jest owe wino które przy nalewaniu w szklanki i kieliszki ścieka przez durszlag szynkfasu i zbiera się w podstawione na dole naczynie — drejmenerwajn, wino które częstowanéj niém osobie trzeba wlewać w usta z pomocą trzech ludzi, z których dwóch trzyma go za ręce, a trzeci operacji dopełnia. Nakoniec szulwajn, czyli wino szkolne, którem chłopców leniwych znaglają do udania się na lekcje. Dosyć jest podobno postraszyć leniucha, że dadzą mu napić się tego wina, żeby wyruszył do szkoły.

Widać że nasze chłopcy nie są za pomocą tego środka zachęcane do nauk, albo ten środek bezskutecznym jest dla nich.

* * *

We wjeździe pewnego domu, położył się chłopak i ryczał wierzgając nogami, twierdząc że nie może iść do szkoły, bo go noga boli. Matka podnosiła go z ziemi, ale on skacząc na jednéj nodze dopóki go za kołnierz trzymała, upierał się przy swojem. Nareszcie zostawiła go w leżącéj postawie, a sama udała się po rózgę. W tém nadjeżdża w bramę jakaś fura. Chłopak ani myśli ustępować, jeszcze chwila, a byłby rozjechanym. Jakaś wątła dziewczynka widząc to, porywa malca znacznie od siebie większego i na własnych barkach odnosi go na stronę.

Stary jegomość patrzący na tę scenę z ubocza, uchylił przed dziewczynką kapelusza, i rzekł do obecnych:

— W téj dziewczynce widzę uosobistnienie poświęcenia się niewieściego, a w chłopcu wcielenie męzkiego egoizmu.

Jakiś mizantrop z boku dodał:

— I niepotrzebowała nawet patentu uniwersyteckiego na to, żeby wygórować nad rodem męzkim.

Żeby być niezależnym i prawdziwie wyższym człowiekiem, czy on jest kobietą czy mężczyzną, nie potrzeba akademji.

Kto ma serce i głowę jest niezależnym.

Niezależność nie w wyrazie, ale w człowieku spoczywa, nie zdobywa się kursami akademickiemi, lecz podniosłością ducha.

* * *

Jeden ze zdolniejszych feljetonistów gazety, „L'Independance Belge", twierdzi, że z powodu zmian zaszłych ostatecznie we Francji panowanie *fru-fru,* co po naszemu dałoby się wysłowić *podwika,* niebawnie ustanie. I że zamiast dzisiejszéj kobiety rozpasanéj, zbytkowéj, szalejącéj—zacznie znowu panować niewiasta bogobojna, zacna, poważna, szanowna i szacowana.

Jeżeli to będzie moda, daj Boże żeby i do nas jak najprędzéj zawitała.

A chociaż wyśmiewano w powieściach kobiety nasze z owéj epoki, kiedy to one grywały na angielskich gitarach, pielęgnowały synogarlice, hodowały świnki morskie i dzierzgły pończoszki... daj Boże, żeby wróciły cnoty i obyczaje owéj epoki.

Szczęśliwe to były czasy w których gitara, synogarlica lub świnka morska, wystarczały kobiecie.

* * *

Temu lat sto blizko, jak Bohomolec napisał wyższe nad swe czasy dzieło p. t. *Djabeł w swojéj postaci,* w którém zbija umiejętnie: przywidzenia, wizje, wiarę w objawy duchów, przesądy i zabobony. Niedawno jeszcze doktór Szokalski w znakomitém swém dziele p. t. *Fantazyjne objawy zmysłowe,* naukowo traktował kwestję owych przywidzeń, które nie jednéj wrażliwéj osobie, wierzącéj ślepo w nad-

przyrodzone zjawiska, życie zatruły. Aliści zjawia się w roku pańskim 1869-m dzieło pod tytułem „*Świat duchów*"! Kto pamięta ile złego przyczyniła swego czasu w rodzinach książka p. t. *Jasnowidząca z Prevost*, ten może z góry obrachować następstwa, jakie sprowadzi ów spirytyczny podręcznik.—Choroby nerwowe przedewszystkiem.

Podobne wydawnictwa, świadcząc o przedsiębierczości wydawców, malują zarazem *postęp wstecz*.

* * *

Jeden z Kalendarzy na rok bieżący, podał słownik wyrażeń obelżywych, używanych w naszym języku.

Rodziny powinnyby wystąpić z owacją dla wydawcy tego Kalendarza.

Bo jeżeli mamy się łajać, to łajmy się już wedle wszelkich prawideł sztuki.

Ciekawa rzecz, co na przyszły rok poda nam ten Kalendarz?—chyba kurs sztuki czubienia się. A potém!—co?

Aleksander Osipowicz.

PIŁKA DO ODRZYNANIA GAŁĘZI

WYSOKICH DRZEW BEZ UŻYCIA DRABINKI.

Przy nadchodzącéj porze oczyszczania drzew owocowych, nie od rzeczy będzie podać Czytelnikom opisanie niedawno wynalezionéj piłki, służącéj do odrzynania gałęzi na drzewach wysokich, bez potrzeby użycia drabinki.

Przyrząd ten składa się z trzech części, a mianowicie:

1) z właściwéj piłki z ostrzem,
2) z futerału, i
3) z trzonka i tyczek.

1. Rama *ab*, piłki, wyrobiona z dobrego żelaza, służyć może bardzo długo, co nader jest ważnem w narzędziu, do codziennego użycia przeznaczonem. Ostrze *d*, ze stali angielskiéj, grubości karty, ma długości około 12, a szerokości przeszło $^3/_4$ cala; daje się z łatwością obsadzać w ramę za pomocą dwóch haczyków na ten cel służących i dwóch prostokątnych otworów *m* i *n*, znajdujących się na dwóch jego końcach. Używając piłki do średniéj wysokości, ostrze zakłada się w ten sposób, ażeby działało przy podnoszeniu jéj w górę; przy większéj wysokości, 4—6 sążni, należy je założyć tak, aby działało przy pociąganiu na dół, w takim bowiem razie tyczka nie tylko nie utrudnia, lecz owszem ułatwia robotę. Rama osadzoną jest w podłużną tulej *o*, kształtu ostrokręga, i utwierdza w niéj razem z ostrzem szruby. Część szruby, przez ramę przechodząca ma kształt graniastosłupa szesnastokątnego, odpowiadający w zupełności kształtowi otworu *s*, przez który przechodzi. W skutek tego ostrze jest trwale umocowanem w położeniu odpowiedniem kierunkowi gałęzi, co ułatwia należyte jéj odpiłowanie. Tulej w którą osadzona jest rama z ostrzem, ma około 11 cali i zakończona jest dwoma podłużnemi wąsami *k* i *l*, pomiędzy które zakłada się trzonek lub tyczka. Przez te wąsy i otwór przewiercony w tyczce, przechodzi szruba z muterką *g*, służącą do umocowania piłki na tyczce. Dla ułatwienia piłowania pomiędzy gałęziami, ramie daje się jak można najmniejszą wysokość. Całkowita długość żelaznéj części piły wynosi 16—19 cali, a waga całego narzędzia około 2 funtów.

2. Futerał z grubéj skóry służy do przechowywania i dogodniejszego przenoszenia trzech zapasowych ostrzy. Robotnik nosi go na sznurku lub rzemieniu przez ramię przewieszony. Jedno ostrze, bez stępienia się, służyć może przez kilka dni; w razie zaś stępienia, należy niezwłocznie założyć inne. Dla uniknienia straty czasu ostrzenie dokonywać się winno w domu po skończeniu roboty, do czego potrzeba wszystkie ostrza z kolei zakładać w ramę. Zdarza się niekiedy, że do boków ostrza przylgnie żywica lub gumma z drzew sącząca i utrudnia oraz opóźnia robotę; w takim razie dosyć jest zeskrobać ją ostrym nożem, co nie wymaga więcéj jak 2—3 minut czasu.

3. Trzonek wyrabia się z drzewa i używa wyłącznie przy odrzynaniu dolnych gałęzi; osadza się zaś w tulei i umocowywa za pomocą szruby *f*, z mutrą *g*. Do piłowania w większéj wysokości należy przysposabiać sześć tyczek, mających długości 1, 2, 3, 4, 5 i 6 sążni. Tyczki te wyrabiają się z prostych mocnych sosnowych żerdek, powinny one być do tyla lekkie, aby robotnik bez trudności mógł niemi władać. Najdłuższe tyczki mają mieć w końcach po $1^1/_2$ cala grubości, w środku zaś winny być o $^1/_2$ cala grubsze, aby się nie zginały. Wyrobione w ten sposób tyczki wieszają się za jeden koniec na wysokiem drzewie lub w budynku (w stodole, szopie i t. p. u bunta), do drugiego zaś końca przyczepia się ciężar (kamień lub gwicht), w celu utrzymania ich w należytéj prostości. W takiem położeniu zostawiają się do zupełnego wyschnięcia, poczem pociągają się pokostem dla zabezpieczenia od wilgoci, która powiększyłaby ich wagę. Na pół wysuszone lub zupełnie mokre tyczki niezdatne są do użycia, albowiem męczą bez potrzeby robotnika, a w skutek swéj giętkości, narażają ostrze na zepsucie, robotę zaś na niedokładność.

Piła ta, niedawno wynaleziona, nietylko w ogrodnictwie znaleść może zastosowanie; w Niemczech wywołała ona zupełny przewrot w pielęgnowaniu lasów. Oczyszczanie lasów, tak iglastych jako też liściastych, od uschłych gałęzi dawno już uznanem było za konieczny warunek dobrego wyrastania drzewa budulcowego; jest ono niemniéj ważnem, jak usuwanie uschłych gałęzi przy hodowaniu drzew owocowych. Pomimo tego, oczyszczanie to, z powodu, że połączonem było dotąd z wielkiemi trudnościami i kosztami, w wyjątkowych tylko razach było praktykowanem w lasach, znajdujących się w szczególnie przyjaznych pod tym względem okolicznościach. Piła którą opisaliśmy, zniżyła koszta oczyszczania do możliwego *minimum*, usunęła potrzebę używania drabin i wdzierania się, częstokroć z niebezpieczeństwem na drzewa, a koszt, na jéj kupno potrzebny (rsr. 12—14 w Petersburgu) bardzo prędko, bo w ciągu dni kilku, wrócić się może.

Ludwik Suchodolski.

Wiadomości Techniczne.

— **Sposób przedłużenia trwałości drzewa.** Przy wielu kolejach żelaznych Północnéj Ameryki, by drzewo użyte na progi, jako też do budowy mostów przeznaczone trwalszem uczynić, przyrządzają je w następujący sposób. W żelazny cylinder długości 75 a średnicy stóp 5, wkłada się do 300 sztuk drzewa, następnie zamknąwszy szczelnie cylinder, rozrzedza się w nim powietrze za pomocą pomp powietrznych, przez co się drzewo powietrza i soku pozbawia. W pozostałe ztąd w drzewie pory za pomocą ciśnienia powietrza wstępuje chlorek cynku, tak że drzewo zupełnie zostaje nim nasycone. Tym sposobém przy użyciu machin parowych, w przeciągu 24 godzin można 1,200 sztuk drzewa nasycić.

— **Ocet handlowy.** Najmniejsza niedbałość w przerabianiu wódki w ocet zmniejsza ilość spodziewanego produktu o 15 do 25%. Dla powetowania sobie téj straty i możności sprzedania w każdym tygodniu téj saméj ilości produktu, dorabiają drobni, a niedbali i mniéj zdolni fabrykanci octu, potrzebną sobie ilość tego produktu przez zaprawienie go jednocześnie wodą i kwasami mineralnymi. Oznaką w occie wolnych kwasów mineralnych jest gotowanie podejrzanego octu z maleńką ilością krochmalu, n. p. jedna część krochmalu na 1,000 części octu. Jeżeli

krochmal wkrótce rozpływa się i znika, można być pewnym, że ocet jest zaprawiony kwasem mineralnym.

ROZMAITOŚCI.

— **K. Towarzystwo kredytowe miejskie** nakoniec wchodzi w życie, dzięki staraniom osób dbałych o pomyślność ogółu; w ustawie mamy wyszczególnione imiona, którym miasto zawdzięczać będzie podniesienie bytu materjalnego. Do założycieli należą: hr. Józef Zamojski, Jan Bloch, Edward Grabowski, książę Tadeusz Lubomirski, Leopold Kronenberg, Juliusz Werthejm, Michał Stadnicki, Dominik Zieliński. Towarzystwo obecnie przechodzi fazę organizowania się i według § 4-go ustawy poczytywać się będzie za zawiązane, gdy stu przynajmniéj właścicieli nieruchomości miejskich, ubezpieczonych od ognia na summę niemniejszą jak milion rubli, zaniosą podania o przyjęcie ich do Towarzystwa. Gdy więc stósownie do § 5 Ustawy Towarzystwa Kredytowego miejskiego zapisało się 261 właścicieli nieruchomości na summę rubli 5,800,000 żądanéj pożyczki, przeto dzień 21 Marca r. b. przeznaczony został na ogólne zebranie, na które zgromadziło się przeszło 200 członków Towarzystwa, o jakiém mowa. Na témże zebraniu obrani zostali do Komitetu Nadzorczego Towarzystwa: Edward Grabowski, Kronenberg Lepold, Bloch Jan, ks. Lubomirski Tadeusz, Stadnicki Michał, Temler Aleksander, Majewski Wincenty, Werthejm Juljusz, Strassburger Edward. Członkami Dyrekcji zostali wybrani: hr. Józef Zamojski, Dominik Zieliński, Longin Gudowski. Na zastępców: Wołowski Władysław, Krajewski Henryk, Okęcki Władysław. Obecnie, jak doniesiono w pismach publicznych, Członkowie Komitetu nadzorczego wybrali z pomiędzy siebie: na Prezesa ks. Tadeusza *Lubomirskiego*, a Członkowie Dyrekcji, na Prezydującego hr. Józefa *Zamojskiego*.

Tym więc sposobem, ważna ta dla miasta i kraju instytucja, uorganizowaną została.

Życzyć tylko należy, aby ona jak najprędzéj mogła działalność swoją rozwinąć; reszta właścicieli nieruchomości, niechże się spieszą postawić się w warunkach wymaganych, aby być w możności uczestniczenia w towarzystwie. Później będziemy zdawać sprawę z rozwoju i działalności Towarzystwa i przejdziemy pokrótce główniejsze przepisy ustawy, która odrębniejszy nadaje charakter Towarzystwu Kredytowemu miejskiemu, jak miało i ma Towarzystwo Ziemskie.

M. Przytułki dla wychodzących ze szpitali czyli tak zwane sale dla rekonwalescentów—przychodzą do skutku. Instytucja ta została już zatwierdzoną przez J. W. Hrabiego Namiestnika Królestwa. (Patrz N-er 10 Opiekuna z r. b.). Celem przytułków jest danie bezpłatne schronienia, noclegu i odpowiedniego pożywienia dla osób wychodzących ze szpitali Warszawskich cywilnych. W przytułkach najdłużéj tydzień pozostawać będzie można—a przyjmowane będą te tylko osoby, które bezpłatnie w szpitalach leczone były i stósowne złożą świadectwa. Osoby, które w ciągu jednéj doby od czasu wyjścia ze szpitala, nie zgłoszą się do przytułków, do tychże przyjętemi nie zostaną.

Instytucja składa się z Zarządu i z członków czynnych. Wszystkie te urzędy obsadzane są z wyborów. Nadto są jeszcze członkowie honorowi obojga płci, obowiązani co pewien przeciąg czasu odbywać deżury w przytułkach i z protektorów i protektorek, opłacających pewną roczną składke, bez żadnych stałych obowiązków.

Ponieważ jest to instytucja czysto filantropijna, istnieć przeto może jedynie przy pomocy i współdziałaniu członków, —i dla tego to każdy z członków téj instytucji, obowiązany jest opłacać pewną składkę. Członkowie czynni płacą po rs. 5 rocznie, honorowi po rs. 10—protektorzy po rs. 25. Fundusze instytucji powstają ze składek rocznych członków, z rozmaitych dochodów przypadkowych i z zapisów.

Instytucja zostaje pod kontrolą Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności i dla tego nosi nazwę: „Oddział Przytułków dla biednych wychodzących ze szpitali."

Na wyborach w dniu 27 Lutego r. b. wybranymi zostali na prezesa, Prezydent Miasta Jenerał *Witkowski*—na vice-prezesów pp. Wołowski Władysław i Szlenkier Karol, na sekretarza p. Al. Makowiecki, na kasjera p. Józef Rawicz.

Nowe dzieła. M. D. *Sen Odrodzenia przez Bogumiła Aspisa. Warszawa w drukarni Czerwińskiego 1869.* Cena k. 45. Rzadko dzisiaj spotkać się można z poezją.... w literaturze, a o poezji życia, to i mowy być nie może... a tem rzadziéj przychodzi coś pisać o niéj, bo chociaż po różnych pismach perjodycznych widzieć się często dają sążniste rymotwórcze strofy, po większéj jednak części, są to, tak nazwane wiersze, o których.... lepiéj nic nie mówić...

To też z przyjemnością wzięliśmy książkę do ręki powyżéj zatytułowaną, w któréj p. Aspis, znowu złożył dowody nieposledniego poetycznego talentu. Braliśmy ją do ręki, z przyjemnością—prawda—a położyliśmy, z pewnego rodzaju niesmakiem...

W poezjach p. Aspisa, którego debiut pamiętamy niebardzo dawno pod pseudonymem: Jakóba Szatana, jako autora poematu „Salvator," w poezjach tego autora, powtarzamy, panuje przedewszystkiem, jakiegoś dziwnego rodzaju dysharmonja.

I ten „Sen Odrodzenia," który właśnie zbolałą duszę poety ma uzacnić, uszlachetnić przez sztukę i pogodzić ze światem, Bogiem i ludźmi, w myślącym czytelniku wyradza to niezłomne przekonanie, że na dnie serca tego poety, są tam jakieś fermentujące czynniki, których działania, nawet sztuka pokonać nie zdoła.

Poeci-genjusze, mają to do siebie, że nawet tam, gdzie ich poetycka wyobraźnia z ujemnéj strony przedstawia świat i ludzi, są wielkimi—i piętno ich genjuszu, wyciśnie się nawet na najmniejszem słowie, chociażby to słowo, było kroplą zabójczéj trucizny... Słowacki np. gryzł, ale „gryzł sercem," i pod ciężarem przekleństw jego uczuć, słychać dźwięki wyraźne miłości, co ogarnia ludzkość całą, co ją chce pchnąć na drogę prawdy, co jéj chce pokazać twarz nieznajomego Boga i czoło opromienić słońcem człowieczéj wielkości...

Poeta w „Śnie Odrodzenia" pokazuje nam także pokaleczoną duszę, chodzącą omackiem i szukającą prawdy i pociechy, ale to wszystko, naszem zdaniem, podobne jest raczéj do jakiegoś apatycznego kwilenia, w którem dusza rada siedzieć i skarżyć się dlatego, że do niczego innego nie jest zdolna... Nawet tam, gdzie poeta zdaje się godzić ze światem za pośrednictwem sztuki, nawet tam, powiadamy, czuć niewiarę w samego siebie... i... hypokryzję... ale poetyczną... „Sen Odrodzenia" p. Aspisa, według naszego zdania, pod względem wewnętrznym, jest naśladownictwem Słowackiego, nasladownictwem, któremu tak daleko do oryginału, jak daleko poecie Aspisowi do poety Słowackiego... Co do formy i języka, nic też uderzającego spostrzegać się nie daje, jest to sobie zwyczajny po większéj części wiersz jedenasto—zgłoskowy, gładki, potoczysty, i na tem koniec. Już to, co prawda, daleko temu wierszowi do wiersza w pieśniach wschodnich p. Aspisa, których próbki czytaliśmy w niektórych pismach tutejszych. Są to poezje rzeczywiście, wysoką mające wartość pod względem formy i poetycznéj plastyki. Słyszeliśmy, że p. Aspis wkrótce cały ich zbiór zamierza drukiem ogłosić.

— **G.** *Tajemnice Klasztoru Neapolitańskiego. Pamiętniki Henryki Caracciolo, z książąt Forino, byłéj mnisz-*

ki Benedyktynki. Z Włoskiego oryginału przełożył Ajo. Lwów, nakładem Wydawnictwa „Biblioteki Powieści i Romansow.” 1869 r. Cena rs. 1. Jest to niby powieść, niby romans, niby własne pamiętniki Henryki Caracciolo, która zakochawszy się raz w Karolu, drugi raz w Dominiku, zbiegiem okoliczności, a mimo chęci i woli, z rozkazu matki została zakonnicą w Neapolu, w klasztorze Benedyktynek *San Gregorio Armeno*, gdzie ciotka jéj była przełożoną. Opisuje więc smutne swoje zakonne życie i rozpaczliwe położenie w zamknięciu od świata, w pośród nieukształconych i nieznośnych towarzyszek, maluje ich swary, intrygi najrozmaitszego rodzaju, podejrzane stosunki z kapelanami i spowiednikami. Po dziewięciu nareszcie latach takich moralnych cierpień, z dozwolenia Papieża, opuszcza klasztor *San Gregorio Armeno* i zostaje kanoniczką. Wkrótce zaś potém poznaje osobę średniego wieku, którą dla przymiotów serca i duszy pokochała i wbrew przepisom kościoła Katolickiego, poślubiła przed kapłanem obcego wyznania. Autorka tak zakończa swoje pamiętniki: „Nakoniec i jam szczęśliwa. U boku męża, który mnie uwielbia i dla którego równą czuję miłość, widzę się w stanie, do którego Bóg stworzył każdą kobietę. Dlaczegoż wypełniając obowiązki dobréj żony, dobréj matki i dobréj obywatelki, nie miałabym się spodziewać skarbów Bożego miłosierdzia?”

— **(M. D.). Prelekcje publiczne.** W dalszym ciągu prelekcij odbywanych w sali Towarzystwa Dobroczynności, wystąpił Dr. medycyny, Mikołaj Brunner (syn), właściciel leczniczego zakładu za pomocą elektryczności. P. Brunner obrał sobie bardzo rozległy przedmiot, bo: „Pogląd na historyczny rozwój nauki o elektryczności i niektóre jéj zastósowania.” Z prelekcji téj dowiedzieliśmy się: że własność przyciągania ciał lekkich, znana była na 600 lat przed narodzeniem Chrystusa, własność tę znał Thales na bursztynie, a w 300 lat późniéj Theophrates odkrył ją w innych ciałach. Według prelegenta „ojcem jednak elektryczności” jest Wiljam Gilbert, lekarz królowéj Elżbiety angielskiéj, a pierwszym, który wynalazł machinę elektryczną był Otto de Geuricke. Mówiąc o machinach elektrycznych, wspomniał prelegent o machinie Wintera, którą słuchaczom pokazał, dodając, że machinie wynalazku Holza trzeba oddać pierwszeństwo. Przebiegłszy historycznie różne doświadczenia z elektrycznością aż do badań pp. Fizeau i Gounelle, słuchacze dowiedzieli się od prelegenta, że na zasadzie badań tych ostatnich uczonych, elektryczność w czasie jednéj sekundy przebiega 160,000 kilometrów drutu miedzianego, a 100,000 żelaznego. Następnie pokazawszy butelkę lejdejską, jak również wytłómaczywszy teorję zjawisk elektrycznych płynów szklannego i żywicznego, oraz elektryczności dodatniéj i ujemnéj według teorji Franklina, prelegent przeszedł pobieżnie historję piorunochronów (konduktorów) i zakończył powiedzeniem słów kilku o zastósowaniu elektryczności do telegrafów, złocenia, srebrzenia, zegarów elektrycznych i t. p. W czasie odczytu, niektóre rzeczy objaśnił prelegent na narzędziach elektrycznych, które na wielkim stole miał pod ręką. Prelekcja nie była liczna.

Professor Lewestam w Resursie kupieckiéj w niedzielę (6. b. m.) miał z kolei szóstą prelekcję „o nowoczesnéj komedji francuzkiéj.” Tym razem mówił o Dumas'ach, ojcu i synu. Zapatrywanie się p. Lewestama, na tegoczesny kierunek i charakter komedji francuzkiéj, znane jest każdemu, kto czyta recenzje teatralne w „Kłosach.” P. Lewestam potępia bezwarunkowo realne dążności w sztuce, których koryfeuszami dzisiaj są: Dumas, Sardou i Augier. Nie wiele wspomniawszy o Scrib'em i o niektórych jego komedjach, zastanowiwszy się nieco dłużéj nad Dumas'em ojcem i jego „Pannie de Belle Isle, Kaliguli:” i innych, pan Lewestam zatrzymał się dłużéj nad Dumas'em synem i jego komedjami, a przynawszy mu dowcip i płodność, utrzymywał: że on właśnie przedstawia w swoim talencie całą szkaradność kierunku, do którego się liczy. Poglądy pana Lewestama na komedję i komedjopisarzy francuzkich, tchnęły wygórowaną stronniczością obozu, do którego prelegent należy, chociaż sam, o ile wiemy, nic do tego czasu nie stworzył w żadnym kierunku. Na prelekcję tę, zebrało się bardzo szczupłe grono słuchaczów.

Tego samego dnia t. j. w niedzielę, w sali Resursy Obywatelskiéj, professor Szkoły Głównéj pan Węclewski wystąpił z pierwszym odczytem „O sztuce starożytnéj Grecji”, których ma być pięć. W pierwszym odczycie p. Węclewski określił nam pojęcie sztuki, wykazał różnicę dzieł natury od dzieł sztuki, mówił o ile pojęcia religijne narodów i wewnętrzne usposobienia na charakter i rodzaj sztuki wpływają, posiłkując się historycznymi przykładami; w dalszym ciągu téj prelekcji wspomniał prelegent o różnicy cechującéj poezję i architekturę—o tem, że szycerstwo w starożytnéj Grecji daleko więcéj było uprawiane jak dzisiaj, gdzie pod tym względem panuje ubóstwo i nareszcie zakończył pierwszą prelekcję o starożytnem malarstwie, jego mistrzach i o muzyce w starożytności. Na prelekcji pana Węclewskiego było osób około 100.

(M. D.) Teatr. *Wanda, komedja w 3 aktach, napisana przez Zofję Meller*, przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości po raz pierwszy w d. 9 b. m., jest komedją poważniejszego zakroju, a chociaż myśl w niéj poruszana nie jest nową i zupełną oryginalnością w pomyśle nie odznacza się—jednak dotknięta w niéj kwestja, jest zbyt ważną i bardzo potrzebującą częstego przypominania, aby dlatego, że była niejednokrotnie poruszana, dziś miała leżeć spokojnie... Szlachetność duszy, praca, silna wola, charakter żelazny, prawdziwa miłość, poświęcenie i osobista zasługa, z jednéj strony—nieudolność moralna, grzeszne próżniactwo, małoduszność, egoizm i przesądy, z drugiéj strony—są to rzeczy stare jak świat, a jednak będą na zawsze nieprzebraném źródłem dla wszelkiego rodzaju pisarzy...

Wanda, bohaterka komedji, jest sierotą, co własną pracą, dając lekcje muzyki, zarabia na kawałek chleba i utrzymuje rodzinę. Za pośrednictwem przyjaciela, doktora, dostaje miejsce na wsi, gdzie muzyką, ma usypiać do snu schorowanego marszałka. Tu spotyka się z Władysławem synem marszałkowstwa, narzeczonym bogatéj Dalji, któréj marszałkowstwo są opiekunami, pod względem materjalnym bardzo korzystnie, bo sami cały majątek stracili i oprócz niewielkiéj wioski, na któréj gospodaruje szlachetny, pracowity i światły Władysław—nic więcéj nie mają. Władysław, choć narzeczony Dalji, pokochał jednak ognistą duszą sierotę Wandę z całą wzajemnością młodéj dziewczyny. Dalja nudząca się na wsi, tęskniąca zawsze do zabaw i strojów, nie kochająca wreszcie Władysława, dowiaduje się o jego miłości, zapala się w niéj zazdrość; nieszlachetne jéj propozycje, z pogardą odrzucone są przez Wandę. Następuje opór ze strony rodziców, którym $1^1/_2$ miljona wysuwa się z ręki. Dalja opuszcza dom marszałkowstwa, a marszałkowstwo przekonawszy się, za pomocą podsłuchania, że Wanda, nie jest żadną awanturnicą, lecz szlachetną dziewczyną—zezwalają na małżeństwo z synem, tembardziéj, że stary marszałek, jako ojciec, czuje się być obrażonym przez Dalję. Oto jest krótka treść komedji; nie wspomnieliśmy tu o trzech jeszcze osobach mianowicie: o doktorze Alfonsie i pokojówce, bo te są tylko illustracją w komedji i w rzeczywistości niczém prawie nie są związane ze spełniającym się dramatem.

Dwie pierwsze postacie w komedji, marszałek i jego żona (p. Żółkowski i p. Niewiarowska), które autorka usiłowała, jeżeli się nie mylimy, wyciosać na postacie typowe, streszczające w sobie ducha pewnych wyobrażeń przesądów

i pozycji towarzyskiéj—według naszego zdania, okazały się najbardziéj spowszedniałe, zblakłe i stereotypowe figury. Naturalnie, wyborna gra Żółkowskiego, nie mogła nie robić wrażenia na słuchaczach. Marszałek był znakomicie pomyślany przez aktora, ale autorka, powtórzyła tylko tych marszałków, których się już tylu na scenie widziało. Pod tym względem, jeszcze większy należy się zarzut żonie marszałka.

Wanda, tytułowa rola komedji, wychodzi na zupełnie drugorzędną postać. Charakter to postawiony dość wyraźnie, ale tak niedokładnie wypracowany w szczegółach, taki tam jest brak życia, ruchu, werwy: że, niech nam szanowna autorka daruje, ale najlepsza gra artystki, téj postaci nie ocali. Nie to żyje na scenie, co deklamuje długie tyrady i wygłasza bardzo wzniosłe maxymy moralne—ale, co przedewszystkiem krystalizuje w sobie prawdę życia. Wanda jest ckliwa, deklamująca i chociaż pani Przedpełska wiele bardzo pozostawiała do życzenia, bo szczególniéj jéj głosu brakowało, tam gdzie właśnie było go potrzeba, jednak główny zarzut, że ta rola jest sympatyczna, a niesmaczna, należy zrobić przedewszystkiem saméj autorce.

Władysław (p. Tatarkiewicz) nie tyle, ale temi samemi grzeszył wadami; ponieważ jednak gra pana Tatarkiewicza była bardzo staranna, intelligentna, i jeżeli się tak wyrazić wolno, moderująca frazeologiczny charakter djalogu—więc i postać Władysława wyszła szczęśliwiéj i dość naturalnie.

Wszystko to, cośmy powiedzieli o czterech powyższych postaciach, nie może się w żadnym razie ściągać do Dalji (p. Modrzejewskiéj). Jest to rzeczywiście postać kobieca narysowana śmiało, z prawdą i tak życiem dramatycznem odróżnia się od innych, że niemal odskakuje od całego tła komedji. Dalja, pomimo ujemności charakteru i przedwczesnego zniknięcia ze sceny, jest, według naszego zdania główną figurą całéj sztuki, nadającą jéj ton, życie i podtrzymującą przyszłe powodzenie komedji. P. Modrzejewska, jak wszędzie, tak i w téj roli błyszczała całą potęgą swojego talentu. Szczegóły artystyczne i całość, wyszły znakomicie.

Pomniejsze role Alfonsa (p. Szymanowski), doktora (p. Grzywiński) i pokojówki (p. Micińska), oddane były z wszelką starannością.

To, co się powiedziało, o ujemnych szczegółach każdéj roli, wziętéj osóbno, wyjąwszy roli Dalji, można powiedzieć w pewnym stopniu i o całéj komedji. Przedewszystkiém grzeszy ona napuszonością djalogu i szczególném lubowaniem się w moralizujących sentencjach, wyglądających na sceniczne kazania. Widocznie, szanownéj autorce leżały na sercu pewne prawdy moralne, zapoznawane przez niektóre klassy w społeczeństwie, których wypowiedzenie śmiało i wyraźnie, uważała sobie za obowiązek. I nie zasługuje to, bynajmniéj na naganę, ale wartość artystyczna saméj komedji, zyskałaby na tém, gdyby te prawdy widziane były w samych postaciach, gdyby z niemi były zrośnięte—jednem słowem, gdyby każda postać była widomem wcieleniem pewnych zasad społecznych lub moralnych, a nie luźną frazeologją w kształcie recept, włożoną w usta osób sztuki, dla tego tylko, żeby były powiedziane...

Co do techniki scenicznéj, nie byłoby nic do zarzucania, gdyby role doktora i Alfonsa wplatały się bardziéj w ogólną treść całéj komedji. Postać Alfonsa, jakkolwiek nie wpływa na węzeł całéj intrygi, jest przynajmniéj jeszcze przeciwstawieniem do charakteru Władysława, a przy dobréj grze p. Szymanowskiego, przyczynia się bardzo do ożywienia komedji, ale doktór, co prawda, niema nic do roboty w całéj sztuce.

Cokolwiek bądź powiedzieliśmy o komedji pani Meller, liczymy ją jednak do lepszych prac w naszéj literaturze dramatycznéj. Rzeczywisty talent téj autorki, znany już dobrze z innych jéj prac dramatycznych, nabiera coraz wyraźniejszego i stalszego charakteru, a jakkolwiek, zdaniem naszem, nie pozbędzie się ona nigdy pewnéj wady *literackiéj kobiecości* w swoich utworach—zawsze to jest talent, przynoszący pożytek scenie i literaturze naszéj.

— **Świat alpejski.** Do dzieł popularno-naukowych które się czytają zarazem z korzyścią i zajęciem, a w które tak obfitują literatury niemiecka i francuzka, zaliczyć należy pracę p. Fryderyka de Tschudi „Świat alpejski," oryginalnie napisaną po niemiecku i liczącą już w tym języku 8 wydań, a świeżo przełożoną przez p. Bourrit na język francuzki. Przyjemność, jakiéj doznajemy po przeczytaniu téj książki, tłómaczy się nie tylko żywością opowiadania, oryginalnością i kolorytem opisów, zawdzięczamy ją także, temu szczególnemu pociągowi, jaki posiada ten oddalony, tajemniczy świat gór, odosobniony pośród otaczającéj go cywilizacji. Ruchliwa ludność wiosek, nie przekracza z swojemi trzodami najpierwszych wzniesień; walczy zresztą nieustannie z niszczącemi żywioły, które bronią przystępu do wyżyn, tylko przez dzikie kozy uczęszczanych. Poważne ogromem olbrzymy, których jeszcze nigdy nie deptała stopa ludzka, wznoszą ku niebu swe nieme wierzchołki, pomiędzy które powciskały się fantastyczne kłęby nieznanych lodników. W załamkach Alp, ukrywa się nie jedna dolina, zwiedzana zaledwie przez strzelców lub poszukiwaczy roślin, lecz mniéj znana niezawodnie jak wyspy Oceanu lub wybrzeża Niebieskiego Nilu. Ten to świat odrębny, przedsięwziął nam przedstawić p. Tschudi w serji obrazów malowany żywémi i pełnemi świeżości barwami. Więcéj szczegółowo zajmuje się zwierzętami i ścigającymi ich myśliwymi. Jednym z najwięcéj zajmujących rozdziałów jest opisujący gemzy czyli dzikie kozy. Obyczaje tych wdzięcznych stworzeń, ich podstępy i żywość cudowna, wystawiające na nieustanne próby cierpliwość i odwagę doświadczonych myśliwych, dostarczają wątku do mnóstwa wzruszających opowieści. Oto myśliwy z berneńskiego Oberlandu, wdarłszy się na krawędź zwietrzałego łupku, zaledwie stopę szeroką, posuwać się może tylko leżąc na brzuchu i odgarniając z przed siebie okruchy oddzielonego i ruchomego kamienia. Gdy tak czołga się nad brzegiem przepaści, widzi cień migający na skale: jest to cień orła czychającego na przyjazną chwilę, by mógł go w otchłań pogrążyć. Ten człowiek, którego życie wisi na włosku, myśli wówczas o środkach obrony od napastnika; kwadrans czasu potrzeba mu było do odwrócenia się na grzbiet, może teraz nabić swój karabin i suwać się daléj za pomocą głowy i nóg. Orzeł, zmuszony do odwrotu, odlatuje, a strzelec, po trzygodzinnym trudzie w podartém na szmaty odzieniu i z pokrajaną ręką dosięga kresu swych obaw, gdyż może nareszcie przeskoczyć na twardą i nieustępującą pod nogami skałę. Oto inny znowu góral, który spadłszy w głęboką rozpadlinę, zapuszcza się w korytarz wyżłobiony przez wody i dostaje nareszcie do stóp lodnika zwracającego swą ofiarę. Oto Colani Szorstki i posępny myśliwiec, o którym powiadają, że zabił ze 30 ludzi; zajął sobie oddział gór Bernina, trzyma tam w rezerwie liczne stada kóz na pół przyswojonych i ścierpieć nie może, by obcy strzelec zwiedzał tę jego dziedzinę; biada temu, którego on spotka na wzbronionéj dla innych ścieżce! Gdy kto zgłosi się do niego, przeprowadza swych gości w ten sposób, że odejmuje im wszelką chęć ponowienia wycieczki. Naturalista Lentz opowiadał, jak pobudzony ciekawością, pewnego pięknego poranku, z jednym z swoich przyjaciół zaszedł do okrutnego górala, któremu ofiarował dosyć okrągłą sumkę by go wziął z sobą na polowanie. Colani zgodził się na to i poprowadził swych gości na miejsce, z którego poglądać mogli na jego stada, lecz zabronił im strzelać; spotkanie in-

nego strzelca spowodowało scenę, która tylko co nie skończyła się bardzo tragicznie, a Lentz mógł dostrzedz, że jego przewodnik nie gniewałby się bynajmniéj, widząc go znikającego w jakiéj przepaści. Dla tego zrzekł się dalszéj przyjemności tego towarzystwa. Mnóstwo opowiadań tego rodzaju, żywo skreślonych, przydają książce p. Tschudi wyjątkowego powabu i czynią czytanie jéj nader przyjemnem.

Ubolewać trzeba istotnie, że pisma nasze perjodyczne nie chcą wziąść na siebie zadania popularyzowania nauki. Mamy pism dosyć rozmaitego zakroju i treści, niektóre, znaczne ilości zadrukowanego papieru rozdają pomiędzy swoich czytelników, obdarzają ich nawet *nadzwyczajnymi* i oddzielnymi książkowemi dodatkami, ale i w samych pismach i w dodatkach wszelkiego rodzaju, przeważnie rozpostarła się powieść. Pojmujemy, że dobra powieść jest zawsze pożądanem i pożytecznem zjawiskiem; kształci gust, prostuje wyobrażenia, uzacnia uczucia. Ależ za prawdę, tego rezultatu spodziewać się nie można po tych setkach powieści, które od lat kilku istną powodzią zalewają obszary prassy perjodycznéj. Smutne tylko można powziąść wyobrażenie o powszechności, dla któréj wyłączną strawą umysłową jest tego rodzaju lektura. Wszelako, choćby nawet popłacało to drukowanie lada jakich powieści, czyż nie jest jednem z zadań pisma, wyrabianie smaku w swych czytelnikach do poważniejszych prac umysłowych, czyż prassa winna tylko schlebiać panującemu, choćby wadliwemu usposobieniu, czy nie ma bynajmniéj obowiązku chronienia od chorobliwych zboczeń, wyrabiania opinji? Nam się zdaje, że gwałtownie potrzebna jest na téj drodze reforma. Przy obfitości gotowych już prac w literaturach zagranicznych, przy wykształceniu sztuki drzeworytniczéj krajowéj, możnaby naprawdę pomyśleć o rozpowszechnieniu pomiędzy naszą publicznością pojęć naukowych: o wprowadzeniu jéj pomiędzy te cuda nieznanego jéj świata, stworzonego większą pracą umysłów, godnie przewodniczących ludzkości.

— Dziwaczne napisy na niektórych nagrobkach na cmentarzach Paryzkich. Zwidzając cmentarze nasze, nieraz się zdarzy napotkać takie wiersze lub sentencje wyryte na nagrobkach, że pomimowolnie trzeba się uśmiechnąć z ich przesady lub dziwacznego się wyrażenia. Pamiętamy np. że jeszcze będąc w Płocku, na tamtejszym cmentarzu widzieliśmy nagrobek pana M. z tym napisem: *Tu leży najcnotliwszy z ludzi.* Jakże się tu nie uśmiechnąć, że to właśnie w Płocku znalazł się ten najcnotliwszy z ludzi! Pytanie teraz: poczém poznano tę jego cnotę w najwyższym stopniu, skoro zmarły służąc w urzędzie celnym, potrafił sobie wcale piękny mająteczek uzbierać.

Na Powązkach w Warszawie, widzieliśmy też wiele różnych napisów podobnego rodzaju, o których jednak nie wspominamy, ponieważ tylko niedokładnie możemy je sobie przypomnieć. (Czytać Nr. 50-ty Opiekuna Domowego r. z. *Redakcja).* Obecnie przebywając w Paryżu, mamy sposobność podać kilka próbek nagrobkowych napisów, oryginalnych w swym rodzaju, jakieśmy widzieli na cmentarzach tutejszych. I tak:

— Tu leży B. nagle zmarły w objęciach swojéj małżonki.

— Tu leży S. zmarły w wieku lat 75. Niebo liczy o jednego anioła więcéj.

— Pani M. Byłaby dała swemu mężowi to, co pelikan daje swoim dzieciom. Módlcie się za nią!

— Panna D. Ależ to anioł na ziemi; czemże więc teraz będzie ona w Niebie?? Prosi o jedną zdrowaśkę.

— Tu spoczywa O. żałowany przez swą matkę i ojca. *Nota bene.* Z powodu żądania całéj familji, matka jest tu wprzód w tych pożałowaniach położona jak ojciec. Prosimy odmówić wieczny odpoczynek za duszę zmarłego.

— L. umarł żałowany przez ojca, pozostałą po nim wdowę i brata kawalera orderu legji honorowéj.

— S. zmarł w wieku lat 3, miesięcy 2. Całe jego życie było tylko nieprzerwanem pasmem ofiar i poświęceń.

— Pani P. Tu spoczywają zwłoki najdroższéj małżonki. Nieutulony w żalu po téj stracie mąż, utrzymuje jak dawniéj sklep z wyrobami bawełnianymi przy ulicy Saint-Dênis.

Zygmunt Gawarecki.

Ogłoszenia.

Koniec Kwartału 1-go 1870 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—Redaktor: Oskar Stanisławski.